

1024

Opisw. Ter

SYG

Katc

Jan Dyrektor

Komedja w 3 akt. A. Bissona

~~Właściciel~~
~~Mi~~

Państw. Teatr Śląski

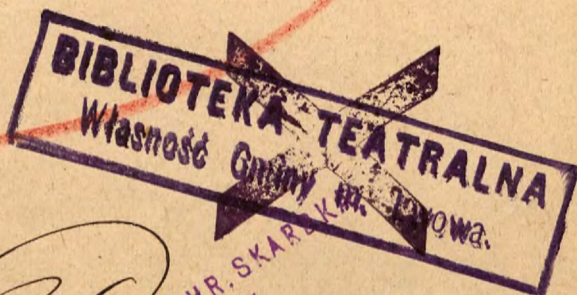
SYG

1024

Katowice — BIBLIOTEKA

N^o 1024

~~1034~~



Jan Dyrektor.

DYREKCYA TEATRU HR. SKARBU
WE LWOWIE

Komedja w 3. aktach.
A. Bisson'a i F. Carre
z francuskiego przekład
Julji Otrembowej.

Exemplarz dla Inglera.

Gausstij

Lwów.
1896r.

list

354

Plan Dyrektora Rumelja u Pa. H. Bissana: I.²
Carrié, printed - francuskiego J. Bissana
Osoby.

Tribune De la Mare, - dyrektor ministerstwa
spraw wewnętrznych

Fel'mani Bouquet.
Tronimurki Lambertin.
Brigantini Lardillac.
Oziherki Liegevis.
Michulmori Chalardon.
Borohmiki Gentil.

urzednicy ministerjum.

DYREKCYA TEATRU HR. SKESBKA
WE LWOWIE

Delmowiki Tingonin, mer w Chateaux.

Chlorlynowa Hipolit, sturzący.

Walewaki Bunel, woiny.

Gortyniki Pani Mariolle.

Lunyparda Zuzanna Karpow

Matroski G. Gabriela Kiriakienowa jej córki.

Delmowiki Adela, sturząca Dolman

Akt I. u Lambertina -

2^{gi} w ministerjum w Paryżu -

3^{ci} na prowincyi w podprefekturze

Wyp:

str: 180.

↳ 284

354

Akt I.

W Batignolles. - Mieszkanie
 Lambertina. - Mały gabinet - umi-
 arowanie skromne. W głębi drzwi
 prowadzące do przedpokojów. Z pra-
 wej i z lewej drzwi boczne. Z lewej
 na pierwszym planie biurko. Z pra-
 wej fortepian - kanapa, fotele, no-
 wodługa mały stolik)

Scena I.

Lambertin - Pani Mariolka.
 i Gabryela.

Za podwieszeniem rastawy Lam-
 bertin siedzi przy biurku i pisze
 P. Mariolka przy wodługowym stoliku
 rajeta robótka - Gabryela gra
 na fortepianie)

Gabryela.

(po chwili przestaje grać) Czy mo-

^{Galyleo}
Ory moja)
ja gra nie przeszkadza ci Ferdynandzie?
Lambertin.

Drażni mnie wprawdzie, ale
nie przeszkadza. Koniec wlasnie
roboty.
P. Mariolo.

Łdaje się Kochany rzeźniku, że
nie jesteś wielkim zwolen-
nikiem muzyki.

Lambertin.

Nienawidzę jej. Jedyny in-
strument, który noszę... to
róg myśliwski.

P. Mariolo.

Dla czegoż wlasnie róg my-
śliwski?
Lambertin.

9 f.
Bo w paryskich miarkamiach
nikt na nim nie grywa.

Gabryel.

(prawy bajac fortepian) Jereli
tak, to nie będy ciś dris' dlużej
dreczyć.

Lambertin

Tris'huje ci. (znova prawy
na pisac) P. Mariolle.

Jwi kwadrans na piata, a
stdeci jessere nie ma. Presz
go drinę, siesbri jwi w miescie
i gotowa jessere spórnicić się
z obiadem. Gabryela.

St dris' nie będbie porcieć
zwykły obiad, tylko formalna

ucerta.

P. Mariolo.

Chociaż w ten sposób postawia-
my się nacieszyć powrót twojej
siostry. Nie widziałysmy jej
przezto dziewięć lat.

Gabryela.

Nie wyobrażasz sobie nanno,
jak. pragnę zobaczyć moją
drogą Lwig. Zatem byłabym się,
że mnie nie porwa.

P. Mariotti.

To bardzo prawdopodobne,
miałas dopiero dwanaście lat,
gdy wyjechała do Ameryki.

Lambertin

No, już skończyłem. (wstaje)

Gabryela.

Skonczytes już całą pracę?

Lambertin

Tark jest.

Gabryela.

Is music by content?

Lambertin

Naturvalnie.

Gabryela.

Miałeś jednak świętą myśl
 żeby situację Moliera i Racine
~~przerobić~~ z zastawianiem do
 użytku szkolnego ~~gimnazjum i żeńskich~~
~~pensjonatów.~~

Lambertin

Jest to istotnie myśl społeczna i pedagogiczna. Chciałbym żeby te niewiniątka znalazły

przyjemności i pożytek w kry-
taniu, a nawet w grywarin
sztuk Moliere i Racina,
w ten jednak sposób, żeby nie-
świadomość ich nie była na-
wariona.

J. Mariotte.

Jaśkies' się pan wriał do
tego?

Lambertin

W bardzo prosty sposób. Dla
gimnazystów powyrzucatem
kobiece robe a dla pensjo-
narek męskie.

J. Mariotte.

Sto dobre wypadła?

Gabryela.

Doskonale.

11.

Lambertin

Skam już cały repertuar
w ten sposób przerobiony np.
"Świąteczka" czyli: "Tatę ko-
mu ufasz." "Fedra" czyli:
"Pretenzjonalna macocha." —
"Szkoła męczyzn" — "Doktor
ka z musu" no i. t. d.

P. Mariotte.

To musi być jednak ciekawe

Lambertin

Tak — ale nie Tatę do zrobie-
nia.

Gabryela.

To jest najwzniejsze, że te
przeróbki kupują.

Lambertin

Istotnie, Mariotte się nie mogł

a mój wydawca jest rachwy-
sony. Mogę więc optować two-
je eleganckie suknie i śliczne
kapelusiki, bez nadwyrężenia
mojej skromnej pensyi. ~~HS~~

P. Mariolle.

Ah, ta twoja pensja, nawet
mówić o niej nie warto.

Lambertin

Prawda, że w ministerjum
nie obzypisz mnie złotem. Tra-
pijś tam już dwiesięć lat, a
płacą mi radełwie dwa ty-
siące sterysta franków ro-
cznie.

P. Mariolle.

A czyja w tem wina? Nie

wspominasz się, nie starasz się
 zwrócić na siebie uwagi, sie-
 dząc cicho jak mysz w swo-
 im kącie. Wystarczy ci to,
 żeby punktualnie o dziewią-
 tej rano pójść do biura i rno-
 wu punktualnie o piątej po
 południu wyjść z niego.

Lambertin

To takhle jest jwi eos'. A mo-
 że razeć, że obowiązki
 moje spełniam bardzo su-
 miennie. P. Mariolle.

Mimo tego jednak wryscy
 twoi koledzy wyprzedzili cię

znaczenie w awansie. Słomięną
pracy, jedynie, nie dochodzi
się ~~w ministerjum~~ do stanowis-
ska.

Lambertin

Znawz dobre Rochana mamu,
moje rasady. Chcę wrzypko
tylko osobistej rasadzie raw-
dzięczać! Chcę, żeby powie-
driano: Lambertin istotnie
na awans rasłwił.

J. Mariolle.

Tak, ale mimo to nie dadzą
ci tego awansu.

Lambertin

Ita być może. Przynajmniej
nie mam sobie nic do wyrzu-

cenia, a wszyscy koleścy narzy-
wają mnie „Zelaznym cito-
wiczkiem.”

J. Mariotte.

Mój biedny Ferdynandzie,
przejdiesz tak daleko, jak
twój kolega Boquet, które-
mu po trzydziestoletniej stwi-
bie, dadzą tysiąc pięćset
franków emerytury.

Lambertin

Miejrza o to. Być może
postanę całe życie jak Bo-
quet podrzędnym urzędni-
kiem, ale i równie uciążliwym
citoliczkiem jak on. Wkari-
dym raczej to lepsze, niż być

16.

referentem
ministerjalnym redaktorem,
jak Lardillac, który - prze-
siem dla kraju, - przynaj-
mniej nie nie ~~redaguje~~ ^{referuje}. Głu-
piec, uważa się za niewycie-
żonego zdobywcę serc, i po
kątach dniach wleci się tylko
za kobietami.

P. Mariolle.

To mu jednak wcale nie
przemknie iść w górę. Teraz
pierre już trzy tysiące sześćset
franków.

Lambertin

Tak - to jest siostrzeńcem
pana de la Mare, dyrektora

9 17.

ministerjam... wierz mi pani,
ze jedynie dlatego.

P. Mariolle.

A pan Ligeris, który w pięć
lat po tobie wstąpił do mini-
sterjum, a przecie jest już
nacelnikiem wydziału i bie-
rze pięć tysięcy osmset fr.

Lambertin.

Ligeris... ah, ten jeszcze
gorzej! Nie zamienilibym się
z nim za nic w świecie.

P. Mariolle.

Dlaczego? Lambertin

Opowiem to pani innym ra-
zem.

P. Mariolle.

Bądź co bądź, gdyby nie

moja mata rent, to musielibysmy chyba rżnąć. Trwój się bardzo, dlatego nie porwalaz mi wrócić do mego dawnego rajęcia.

Lambertin

Kabalarci ?! Skąd?

P. Mariolle.

Prepraszam, nie byłem kabalarcą, tylko wrótką.

Lambertin

To wszystko jedno, wrótką, Kabalarcą, jasnowidzącą, przy prawnicę ^{to wszystko jedno} a gdy się jest wrednikiem francuskiego ministerjum, to nie mo-

żna mieć tesciowej, która kła-
dzie kabaty.

J. Mariotte.

Ładen rękód nie parubi, gdy
go się szumiennie wypelnia.
Dziwna rzecz, że moje ramię
nie zraniło pana, gdy stara-
tes się o rękę mojej córki.

Lambertin

O bo też i ja wydawałem
się panu wówczas doskonałym
rękiciem, gdy wielka kabata
przepowiedziała mi świątynę
przyszłości.

J. Mariotte.

Miły Bore! czego ja ci wów-
czas nie wróżyłam? Pienią-

dre - stonę - natręty!'
 Wysłuchało to najwyraźniej wy-
 cytatem w kartach. Ek - i
 stopatom się! Pierwszy raz
 moje karty tak różniwie ra-
 dowity ze mnie.

Lambertin

A więc też i nie... Kto to
 wie? Jestem jeszcze młody
 i mam przyszłość przed sobą.
 (nuci) ~~Jestem jeszcze tak~~
~~młody, więc jeszcze zdobyć~~
~~możemy.~~ (patrzy na zegarek)
 O... już w pół do piątej, muszę
 iść natychmiast do insty-
 tutu Cabassola z moim Ega

nowelem. / bierre manuskrypt i
pokazuje go Gabryeli; Widzisz,
 to warto trzysta pięćdziesiąt
 franków. Będzie ra to nowe
 okrycie dla mojej ionki.

(całyje ja) Ten porceiny Mo-
 liere wyszło raptaci. eHe
 nie zapomnij pójść na dwor-
 zec po siostrę.

Gabryela.

Bądź spokojny.

Lambertin

Naturalnie z mamą, bo wiem,
 że nie lubię, gdy sama wycho-
 dź. Jesteś ładna... i łatwo
 może się redarzyć, że jakiś
 stary pan - ba... no i na-

wet nitody... (idzie w głąb)

P. Mariolle.

Najlepiej, żebyś ją pan cho-
wał pod klosz, gdy wychodzi.

Gabryela (śmiejąc się)

A to dopiero Otello!

Lambertin

Do widzenia. (wychodzi z ma-
nuskrzypem)

Scena 2.

P. Mariolle - Gabryela.

Gabryela.

Jaki on miły!

P. Mariolle.

Tak, tak, miły - ale ra gwał-
nie ma ambicji.

Gabryela.

Skreście domowe ~~ma~~ tak
coś warte, tak mi się przynaj-
mniej zdaje.

P. Mariolle.

Teraz ci się tak zdaje! Bo
się nieści - bo ci grucha sto-
kie stówka.

Gabryela.

Oh! przeпадam ra tem!

P. Mariolle.

Tak - ale z tego pożytku ra-
dnego nie ma.

Gabryela.

Skłoda!

P. Mariolle.

Skępnego stanowiska mu
nie da.

Gabryela.

Ma jeszcze dosyć czasu przed sobą. Postraliwszy się przecież dopiero od roku.

P. Mariolle.

Dla czego on sobie naraził pana de la Mare, dyrektora ministerjum! Cóż wielka tak wpływowego.

Gabryela.

Nie mi o tem nie mówić.

P. Mariolle.

Ale ja wiem dobrze. Nie ten człowiek jest dla mnie zagadką. Pojmuję rzeczy, że można być ile ze swemi

podwładnymi, wreszcie z ko-
legami... ale re zwierzęmi-
kiem? tego doprowadzi już
nie rozumiem! - Bo powiedz
cie sama, czy to nie głupo-
ta? - On jest ra dumny,
ra drzeliwy. Unika wrel-
kiej protekcji... Ale i ty
także nie starasz się nic
dla niego zrobić.

Gabryela.

A cóż ja mogę?

P. Mariotte.

Nie wiem... ale powinnaś
przynajmniej starać się coś
wymyśleć... Twoja siostra
naprawdę - oho - ta po-
trafiłaby sobie poradzić.

Fabryela.

Zuranna ?

T. Mariotte.

Ona znalazłaby już sposób,
żeby mężowi awans wyro-
bić.

Fabryela.

Niechże mi mama przy-
najmniej da wskazówkę,
jak się mam wrazić do
tego.

T. Mariotte.

Hm - to trudno okre-
ślić. Zuranna nie potrze-
bowata wskazówek, sama
doskonale wiedziata, jak
sobie radzić, bo jest rękoma,
przebiegła i nie rwała się

przeszkolam. Piekawam,
 co byś ty była robita z two-
~~im~~ ~~z~~ ~~tasim~~ ~~m~~ ~~o~~ ~~r~~ ~~g~~ ~~i~~ ~~e~~ ~~m~~, gdybyś
 jak ona, w dwudziestym ro-
 ku życia jako guwernant-
 ka wyjechała do Ameryki.
Gabryela.

Postaralabym się tam o lekkie
P. Mariolle.

Guwernantka, żyjąca z lekkim
 nigdy do niczego nie dojdzie.
Gabryela.

Jakto? P. Mariolle.

Ale twoja siostra natych-
 miast zrozumiała sytuację.
 Już po trzech miesiącach do-

stała miejsce korespondentki
 w wielkiem przedsiębiorstwie,
 potem została kasjerką, a
 następnie zdobyła najwyższe
 stanowisko .. bo wysła
 ra syna swego szefa, po-
 wiekszyła w trójnasób do-
 chody przedsiębiorstwa,
 dorobiła się znacznego ma-
 jątku .. i owdowiała ! -
 A wszystko to potrafiła
 zrobić w ciągu dwudzię-
 ciu lat ! To mi dopiero
 kobieta ! Gabryela.

Ale teraz jest wdową .. więc

nie rozdrożę jej wcale.
 Nie wie mama o której
 przyszedł Zuzanna?

J. Mariotte.

Doprawdy, że nie wiem.
 Ale czekaj, zaraz się rozpy-
 tam u moich Kart. (wyjmując
z szuflady taliz Kart)

Gabryela.

Kart? Czyż nie lepiej do-
 wiedzieć się z rozkładu jar-
 dy?

J. Mariotte.

Eh, to nie pewne. Może
 się stać jakiś wypadek, nie-
 przewidywane spóźnienie
 pociągu. (rozkłada Kartę)

30.
na stole / O, widzisz: to droga...

Gabryela

(idzie w głąb) Ktoś drwi
otwiera, pewnie Adela.

J. Mariolle.

(kata rozjeżdża kabaty) Bar-
dzo dobrze - tak - tak -
bardzo dobrze.

Gabryela

(otwiera drzwi w głębi, wi-
dąc Adelę w przedpokój
rannyhójacę drzwi od sieni,
miesie na ręku kosz z pro-
wiastami - wyrzucił twarz
zmartwiałą - ciężko wzdycha)

Scena 3.

J. Mariolla - Gabryela - Adela.

P. Mariotte.

Czy to ty Adelo?

Adelo (wchodząc)

Oh! ja, proszę pani!

P. Mariotte.

(do Gabryeli) Patrzno tyłko...
o - dwunastka Karo i dwie-
nastka julek.

Gabryela.

Cóż to znaczy?

P. Mariotte.

To znaczy, że pociąg z Ha-
wru spóźni się o całą go-
dzinę. - Adelo!

Adela.

Stucham pani.

P. Mariotte.

Czy byłeś w cukierni?

Adela.

Nie, proszę pani.

J. Mariotte.

To bardzo źle! dlaczego nie
byłasi?

Adela.

(mylniech ptaorem sth! gdy-
by pani wieściata. Spotka-
tam Adolfa - mego Adolfa -
sreść tak - pod rękę z ju-
Kojintha.

J. Mariotte.

Ale który to jest ten Adolf?

Gabryela.

Jej narzeczonny, krewnik.

Adela.

Jakem to robaczyła - to mnie
zaraz proszę pani, tak coś!

w sercu raktoto.

P. Mariole.

A cóż mnie to obchodzi.

Gabryela.

Nie tak jej mauio... i tak
ma żyć dosyć smartwienia.

P. Mariolle.

A samopemą przymiostas?

Gabryela.

Żyć ja się tem rajmę. (sko Adeli)
No, no, uspokój się, nie płacz.

Adela (płacząc)

Ah! proste panu - taki śli-
czny męczyzna.

Gabryela.

A może on się też jeżowie
kocha.

Adela.

Nie, — wiem na pewno, że mnie
już nie kocha — nie miał dris'
na sobie mego krawata.

Gabryela.

Jakiego równo krawata?

Adela.

Bo proszę pani, co dwa tygo-
dnie dostawał odemnie nowy
krawat, żeby co rana ubie-
rając się w niego myślał o
mnie. — Teraz już wiem,
że wszystko przepadło.

Gabryela (n. s.)

Biedna dziewczyna!

P. Mariotte. (do Gabryeli)

Ale jeżeli chcesz sama robić

sprawunki, to musisz się spie-
rzyć.

Gabryela

Idę natychmiast.

(wychodzi na prawo)

Scena 4.

P. Mariotte - Adela.

P. Mariotte.

Bądźcie rozsądna. Już pią-
ta, a więc nie ma czasu na
deperację.

Adela.

Najlepiej, żeby pani sama dziś
obiad ugotowała.

P. Mariotte.

Czy ty znówu pleciesz?

Adela.

Bo ja mogę wszystko repsnąć.

przyję to - ja już zupełnie głowę straciłam. Ah! ten Adolf!

J. Mariolle.

(Słuchajno, wiersz ty w Kabacie?

Adela.

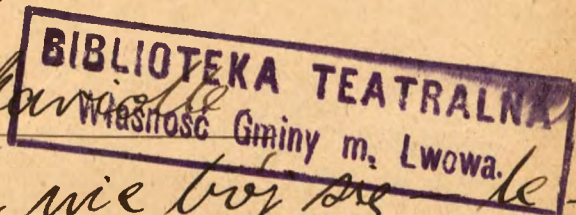
Oczywiście. J. Mariolle.

No, to dobre. Postawie koszyk i siadaj tutaj. Powiesz mi wielką Kabałę. (Adela siada przy stole - J. Mariolle tasując karty) Ale przedwzrostkiem musisz mi na wszystkie pytania szczerze odpowiadać. Powiedz mi więc, czy dwójka karykadowego postawiała ci z miasta?

Stolela..

Jak Boga Kocham, proszę pa-
ni, najwięcej zarabiałam son
na Karolym franku.

T. Mariolle



No, to wybieraj, nie bój się
wz rekla. - (Stolela zbiera Kar-
ty - T. Mariolle wkłada K. Kart
nie odwracając ich w formie
dwiego kola - następnie wew-
natrz tego kola wkłada prześ
Kart w formie Krzyża, tak że
nie odwracając ich - wkładając
Karty wymawia następnie wy-
rany! Dla siebie, dla niego,
dla przyjaciół, dla nieprzyja-
ciół - dla domu - dla swoich,

dla obcych - co się może stać -
 co będzie z pewnością - na
 przypadek - czego się spo-
 diewasz - na przeszkodzie i na
 nieprzeszkodzie. - A. teraz baczność!
 Zaczynam.

Adela (z niepokojem)

O mój Boże! mój Boże!

J. Mariotte.

(mówi odwracając kartę)
 Jakis brunet mówi o tobie
 w tej chwili.

Adela.

Brunet! to Adolf!

J. Mariotte.

Mysli o tobie, ab przestanie

się Kochać, jeżeli nie będzie
ostrożna, bo obok niego jest
jakas ~~brunetka~~ brunetka, która go
wabi, ale on o nią nie dba.

Bądź uczciwą, oszczędną,
pracowitą i nie lekaj się
trudu. Wstawaj o piątej rano.
Strzeż się białych koni i nie
sowieccy żołnierzom.

Adela (redemption)

Doprawdy?

P. Mariolle.

Wyjdzie niedługo za mąż,
ale pierwszej będzie miata
smartwienie, bo ten młody rko-
wiek, który się z tobą ożeni,
będzie miał dwie przeszkody i

przytrocici do rwalstwa. Al-
 za to ostatnie karty poręczenia-
 dają szczęśliwą przyszłość i ra-
 dosć, dla siebie i dla niego.

Bądź dla swoich granic
 wierną i przychylną. — Ja-
 kiegoś człowieka ze wsi będzie
 pisał od ciebie pismem.

Adela.

To pewnie mój ojciec.

P. Mariotte.

W domu twoim będzie po-
 myślność i zgoda. Wzrost-
 kie nadzieje rostaną spełnio-
 ne. Twoje matierństwo jest
 pewne, jak również i szczęście

z tym młodym brunetem, który będzie miał przyrośnięty przez jakąś blondynkę. Mi-
łość, serce i pomysłowość.
Będzie długo żyć i norma-
lizować się w przyrośniętych.

Adela (nie rozumiejąca)

Jakto, będzie się normalizować?

J. Mariolle.

Tak jest, będzie miała dwóch
dzieci.

Adela.

Z Adolfem? To wszystko
napewno się stanie?

J. Mariolle.

Nierównowaga. Może nwa-
lizować swoje dzieci jako już na-
rodzone.

Scena 5.

Teri same — Gabriela (wchodzi
z prawej, ubrana do wyjścia,
kładnie rękawiczki)

Adela.

Ah! proszę pani, jaka ja
jestem szczęśliwa! Adolf
orien się ze mną i będziemy
się rozmawiać! (biorąc korupk)
Eh! jaka ja jestem szczęśli-
wa! Przekona się pani, jaki
doskonały dziś obiad przygot.
(stychać drzwoni)

Gabriela.

Ktoś drzwoni.

Adela.

Biegne otworzyć.

(wychodzi głębiej)

P. Mariolle.

Et co, czy się rozbiliście?

Widzisz, jaka kontenta. Ah,
to posiedzenie odświeżyło
mnie trochę. Mój Boże!

gdy sobie przypominę, jak to
dawniej ze wszystkich stron
Paryża tłumy biegły się do
mnie po wróżby. A teraz?

(re smutkiem) Nikt już nie

przychodzi. (chowa karty do

suflady /

Gabryela (us/

Biedna mama!

Odela (wchodzi głębiej

Proszę pani, pan Boquet przy-
szedł.

Gabryela.

Kolega Ferdynanda.

P. Mariolle.

A, ten stary głodowiec!

Adela.

Tak, proszę pani.

P. Mariolle.

Proś go.

Adela.

(otwierając drzwi) Proszę

pana. (półgłosem - n. s.) Stary
głodowiec!

(po wejściu Boqueta - Adela
wychodzi na lewo)

Scena 6.

P. Mariolle - Gabriela, Bouquet.

P. Mariolle.

(bardzo uprzejmie) Ah, Kocha-
my pan Bouquet! Co za mi-
ła niespodzianka!

Bouquet.

Moje uszanowanie panion.
Czy nie przeszkadzam?

Gabriela.

Bynajmniej!

P. Mariolle.

Żyjemy w takim odosobnie-
niu, że kawiara wryta jest dla
nas poręczona, choćby naj-
muelniejsza.

Bouquet.

Tani jest zbyt tawarowy.

Gabryela.

Proszę, siadaj pan. Używam
pom d'ris' niedzielnej prze-
szłości. ?

Bouquet.

Tak jest. Niedziela jest tak
nudna, że nie wiadomo co
z nią zrobić. W piśmie jest
przynajmniej zajęcie, pracuje
się, rozmawia, ale gdy je
zawukna, błądę bez celu,
jak dusza potępionca: Twie-
dy dopiero pojmując całą do-
młość materializmu i rodziny.

Gabryela.

Wiesz czemu się pani nie re-
misz?

Bonquet.

Teraz byłoby już cokolwiek
zapóźno. Zresztą takie my-
śli przychodzą mi tylko w nie-
dzielę. - A przytem, prawdo-
podobnie nie porzys już dłu-
go .. może jeszcze kilka
lat...

P. Marielle.

Zawaz to panu powiem. Po-
kazano pan reke. (bierre reke
Bonqueta i wpatruje się w nią)

Bonquet.

Jakto? zna się pani na tem?

Gabryela.

Mama na koniecie umie wró-
żyć z ręki.

P. Mariolle.

Oleś to jest zdumiewające!
Tę już nie ryję, Kochany
panie Bonquet!

Bonquet (zdumiony)

Jakto? nie ryję! O tem
nie wiedziałem wcale.

P. Mariolle.

Widzisz pan: linja paniskie-
go ryjcia tu się już kończy
i między czterdziestym a
pięćdziesiątym rokiem po-
minie się pan umrzeć.

Bonquet (do Gabryeli)

Skama pani jest dla mnie
bardzo toskawą. / do p. Mariolle
I co z tego wynika?
P. Mariolle.

To, że pańskie życie jest
nieprawidłowe. Jesteś pan
istotą anormalną, rzywym
nieboszczykiem.

Bouquet.
Ja jestem rzywym nieboszczy-
kiem? P. Mariolle.

Wobec wyroczni, nierawodnie.
I teraz będzie pan musiał żyć
jeszcze raz tak, ^{lat} jakbyś, jakas
ci linja życia wymacra.
Bouquet.

100

To maczy ~~80, albo 90 lat.~~[?]
 No, więcej nie rządzam.

Gabryela.

A ratem, maw pan jeszcze
 dożyć sam do oświecenia się,
 jeżeli serce pańskie tego
 pragnie.

Bonquet

Barabro wątpię, czy pragnie... reszta, robacze...
 pomysły o tem jeszcze. Pierwej
 jednak muszę zerwać łaniuch,
 przyglądający mnie do moich
 obowiązków.

P. Mariolle.

Aha, chcesz pan już zostać emerytem.

Bouquet.

Tak, będę nim za osm dni.

J. Mariolle.

Czy pan wtedy porzuci re-
swoim czasem?

Bouquet.

Będę robił winyty przyja-
ciom - do państwa będę
także często przychodził.

J. Mariolle.

Władymyście, mógłbyś
pan coś rozsądniejszego ro-
bić.

Bouquet.

Jakto? J. Mariolle.

A naturalnie, że mógłbyś
pan robić coś rozsądniej-

prego, jak porucac posade,
ktora przez 30 lat rajmo-
wales.

Bongnet.

Byc moze. Jednakże wy-
daje mi się to nierównie
przyjemnem: byc wolnym,
nierazowym i być rzadko
od ludzi, ktorzy mi pogardzają.

P. Mariolle.

Kimże to pan tak pogar-
dza?

Bongnet.

Moim zwierzchnikami i
kolegami - naturalnie z wy-
jątkiem Lambertina. Czy

nie ma teraz w domu tego
poecińca?

J. Mariolle.

Nie ma go.

Gabryela.

Pewnie zaraz nadejdzie. Ale
za to ja poręgnam kocha-
nego pana. Przykro mi bar-
dzo, ale muszę wyjść.

(podaje mu rękę)

Bouquet. (cierpko)

O, proszę nie robić sobie
ze mną ceremonji, Tashawa
pani.

Gabryela.

(wychodzi głośno)

Okena 7.

Bouquet - J. Mariolle.

Bongnet.

Ala jakby mamy prześliczną pogodę, od средин tygodnia, ani kropli deszczu.

P. Mariolle.

O tak, cudowna, mamy pogodę.

Bongnet.

A dris', co ra wspominały dzień.

P. Mariolle.

W polu musi być bardzo ładnie.

Bongnet.

O tak - ale dobry deszcz nie rozkośtrzyłby ~~X~~ pańcy
Podobno strażnica granicy w Algierze.

J. Mariolle.

(mruwy na str.) Czy on nie
myśli pójść sobie?

Bouquet.

Ale ja przecie nie przeszkad-
zam pani?

J. Mariolle.

(niebitym tanem) O nie.

Bouquet.

Leham się rawsze, żeby
nie był natrętnym.

J. Mariolle.

Ale to się panu przecie sz-
ba nie zdarza.

Bouquet.

Najtrudniej zachować wła-
ściwą miarę podczas wiryty,

tak, żeby nie trwała ani ro-
dugo, ani za krótko. Sta to
potrzeba mieć wyjątkowy
takt. Bo są na przykład
ludzie, których w żaden spo-
sób porbyć się nie można.

J. Mariolle.

O to prawda!

Bouquet.

To też ja, zawsze staram
się utrzymać właściwą miarę.

J. Mariolle.

To świadczy o pańskiej deli-
katności.

Bouquet.

Mam pięciu, czy sześciu przy-
jaciół, których co niedziela

na przemian odwiedzam, to
jest moja jedyna rozrywka.
Pogada się, to o tem, to o
owem. Zapraszają mnie
zwyczajnie na obiad.

P. Mariolle.

A pan zostajesz?

Bouquet.

Opieram się zawsze takim,
mu naproszeniu.

P. Mariolle.

Przeczety witwiek! Opi-
eram się pan?

Bouquet.

Ale gdy na mnie bardzo
perdesznie nalegają — zostaję.

Staram się jednak przyrzą-
 nic do świetności obiadu i
 sam przyrządzam jedną, albo
 dwie delikatniejsze potrawy,
 których w mieszczańskim do-
 mu dobre zrobić nie potra-
 fia. Szczególniej nieporo-
 wnany jestem w przyrządza-
 niu pikantnych sosów.

P. Mariolle.

Pokazuje się, że pan jesteś
 smakoszem.

Bouquet.

Wyrusza, że nim jestem.
 Ściszę się bardzo, gdy moi
 przyjaciele podśmiewają się mnie

te wade.

P. Mariolle (n.s.)

Mysli, ie go raprosze. More
dlugo na to czekac.

Bouquet (n.s.)

Nie chce mnie rozmawiac.

para
(.)

(para)

P. Mariolle.

Czy pan ma co powiedziec
memu rzeziowi?

Bouquet.

Najswierza nowina
wa.

P. Mariolle.

Owz to chodzi?

Bouquet.

Trzeba Kochanej pani wiedziec,
ie zawsze wiem najlepiej, co

się w biurze drugie - ponieważ
 wychodzę ostatni - nie przez
 gorliwość - nie, bynajmniej;
 tylko dlatego, że nie wiem co
 zrobić z czasem przed obia-
 dem. Otwór wczoraj opowia-
 dał mi Büchel - nasz woźny -
 że jest walcząca posada.

P. Mariolle (rym)

Posada? Bouquet.

Tak jest, podprefektura. Za-
 pewne dostanie ją ktoś z cen-
 tralnej administracji.

P. Mariolle.

A kry mój więc nie mógłby

niec widoków?

Bouquet.

(pogardliwie) Co, Lambertin... Urzędniczna za 2500fr. rocznie?

P. Mariolle.

A Macgregorby nie? skon-
czył przecież prawo.

Bouquet.

Nie, niech się pani nie łudzi.
Lambertin ma akurat tyle
sraney, co ja. My obaj nie
umiemy pochlebiać i dlate-
go też nie nie dostaniemy.

P. Mariolle.

A od kogo należy nominacja?

Bongnet.

Od dyrektora.

J. Mariolle.

Ah, od pana de la Mare?

Bongnet.

Tylko od niego.

J. Mariolle.

Jaki to człowiek?

Bongnet.

Bardzo inteligentny, bardzo
sprytny, ale mimo tego łatwo
go podbić.

J. Mariolle.

Jakto?

Bongnet.

Idź w grę wchodząc Kobiety.
Kiedym go porwał, narzwał

się poprostu Delamare, potem
 przerwał się de Lamare, a
 teraz narwiło jego składon
 się aż z trzech wyrazów:
 de-la-Mare. Ładuje się,
 że już na tem poprzestanie.
 To się u mnie nazywa karje-
 ra. Jako podobnego urzędni-
 ka cenię go wysoko, — ale jako
 człowieka pranować nie mogę.

J. Mariolle.

Zwykłe nie sąmiejemy tych,
 od których jesteśmy ralerzmi.
 Ale czy owa wadująca posta-
 da jest korzystniejszą od tej,
 którą Ferdynand obecnie raj-

64.

nusze? Bo to jest rzecz naj-
ważniejsza.

Bouquet.

Naturalnie, byłoby to zna-
cznym awansem... tylko że...

J. Mariolle.

A więc rzecz honorowa.
Mój rząd będzie się starał
o podprefekturę.

Bouquet.

O ile znam Lambertina,
to wiem, że nie robi tego.

J. Mariolle.

To inni postarają się za
miego.

Bouquet.

Wto taki?

P. Mariolle.

Czy sądzisz pan, że cel mógł
by być osiągniętym, gdyby
kobieta rozjęła się tą sprawą?

Bouquet.

Zależy od tego ... jaka ko-
bieta.

P. Mariolle.

Albo ... na przykład ja.

~~X~~ Bouquet.

Pani? (wsuniecia się ino-
niernie)

P. Mariolle.

Ja ... albo moja córka.
o to mniejsza. A kiedy

można rastać poma dyrektora?

Bonquet.

Wpioniedwiatek i erwartek,
od 2^{ej} do 4^{ej}.

T. Mariolle.

Jakto, pan jwi odchodisz?

Bonquet.

A tak - muszę jwi pójść.
(ndaje, że chce odejść)

Scena 8.

T. Mariolle - Bonquet - Adela.

Adela (wchodząc ptać)

Oh, proszę panu, jakie nie-
wczesie... Jakie strasne
niemczesie. T. Mariolle.

Na nitosie Bosko! Coż się stało?

Adela

Legumina waniliowa wypłata
się z formy.

P. Mariotte.

Ale to nie może być. Legu-
mina miała być ordożą, dri-
siejszego obiadu.

Bouquet.

(wraca się od drzwi) Takto,
to u państwa dris' będzie
taki wspaniały obiad?

P. Mariotte.

Tak jest. Chce my nercić powrót
mojej starszej córki. (do Adeli)
Musisz przede wszystkim zrobić coś in-
nego na to miejsce.

Adela.

Stę kiedy już rapórno prosię
pami. Bonquet.

(Władze Kapelusze i parasol)
Wiech się pami uspokoi, będzie
doskonata legumina.

(rodejmyje reławiarzki)
P. Mariolle.

Jakto? Bonquet.

To już moja rzecz.
P. Mariolle.

Tom szciałbys'...

Bonquet.

Trzyrządę krem à la ^{Kuropatkin} Chobelew.

P. Mariolle.

Bardzo dobrze... ale...

Bonquet.

Bedniejsz pami sobie wszystko

dziesięć palcy obliżować.

T. Mariotte.

Ale ja nie mogę nadwignąć
uprzejmości pańskiej.

Bonquet.

Niech sobie pani nie robi
ładnych skrępowań. Do obia-
du nie mam nic do roboty.
(do Adeli) Prowadź mnie do
kuchni, moja paniusko.

Adela.

Ale cóż znów...

T. Mariotte.

Nie wiem doprawdy, czy...

Bonquet.

Wszystkie dziesięć palców...

No, przekona się pani. (wycho-
dzi na kwo z Adela)

T. Mariotte (sama)
 No ... i postawił na swoim.
 Ha, trudno - trzeba go be-
 dzie zaprosić.

Scena II.

T. Mariotte - Gabryela - Lardillac.

(Gabryela wchodzi i gębia się -
 jąc się - ra nią Lardillac -
 niesie butelkę szampana rami-
 nięta w papier i dwa pakiety
 ciastek)

Gabryela.

(do Lardillac) Co? wiernyś
 pan teraz, iem ci prawdę po-
 wiedziała?

T. Mariotti.

(icho do Gabryelli) Kto to jest?

36 71.

Gabryella. (cichs,

Jakis' glupiec! (gt.) Upartosci
sie pan, cieby mnie do domu
odprowadzic. Jestem juze w
siebie, czy pan radowolony?
Znajdujesz sie pan w obec mo-
jej matki, ktora razeony, ze
od roku jestem panem i
Kocham mego meria.

Lardillac.

Nie, to Kapitanie!

Gabryella.

A moze pan chcez zwiedzic
nasze skromne mieszkanie?
(wskazuje na prawo) Tam jest
salon. (wskazujac na lewo)
A tam pokoj jadalny i kuchnia.

72.

Moje poma zaprowadzić tamie
i do piwnicy? Nie... no, to
dobrze. Stacyny czynsz 1500 fr.
rocznie, a kontrakt nasz z go-
spodarzem już się kończy. Czy
jesteś pan już dostatecznie
objaśniany i wierysz nareszcie,
że jestem przynajmniej kobietą,
a nie jakas tam...

J. Mariolle.

Nie nie rozumiem.

Lordillae.

Nie, to kapitał! Inakomite!
Dawno się już tak doskonale
nie bawitem.

J. Mariolle.

Jakto, więc ten pan wzięto się ra.

Gabryela.

La lekki towar... tak jest.

P. Mariolle.

Oh, tego już ponadto!

Lardillae.

Jestes' pami tak piękna, tak
elegancka, tak powabna, że..

Gabryela.

Że w radeń sposób nie mo-
gęs' muie pan uwarac' na
wzrocz, kobiecie.

Lardillae.

Tak mi się przynajmniej zdawało.

P. Mariolle.

Oniemiadam!

Lardillae.

For tablic! A wie pani, że taka
onytka żyć mi się trzeci raz
w tym miesiącu przytrafia.

Gabryela.

To mnie przynajmniej pociesza.

Lardillae.

Dawniej, wystarczało jedno
spojrzenie i słowiek żyć wie-
dzieć z kim ma do czynienia.

A dziś nie wiadomo czego się
trzymać.

P. Mariotte.

Łdaje mi się przecież, że moja
sówka ma tak przynajmniej po-
wierchomność...

Lardillae.

Przywoita powierchowność ni-
czego jeszcze nie dowodzi, pragnę
pani.

P. Mariotte.

Ale teraz przekonates się pan
naocznie, że się mylił.

Scena 12.

Ciri i Boquet.

Boquet. (wchodzi

z lewej, w wielkim kuchennym
portnie na rekawach, długie bra-
te kuchenne mankiety - w ręku
trzymając talerz z pianą, którą bije
mówiąc: / Prędko sok wi-
śniawego, gdzie sok wisniowy?
Lardillae.

(oddaje Boquetowi butelkę i
dwa pakiety) Masz mój Kocha-

76.
ny. Umówi się mnie od tych pa-
nunków.

Bouquet.

Co widzę? Lardillac!

Gabryella.

(chodzi do matki) Ah! więc
to Lardillac?

Lardillac.

Ojciec Bouquet! Coż to u
licha! roztates' panu kucharzem?

Bouquet.

Tylko w mieszkaniu. Pomagam
trochę ... z przyjaźni. (do

Gabryelli) To pani zna Lar-
dillaca?

Gabryella.

Nie.

P. Mariolle. (naz.)

Siostrzeniec dyrektora ministerjum.

29 77.
Gabryela.

Na placu Clichy, ręk powo-
row był tak wielki, że dla-
wiatam się przejsć na drugą
stronę. Ten pan widząc moje
zakłopotanie, zbliża się po ry-
cersku podaje mi ramię, od-
biera mi z rąk pakunki i
bezpiecznie przeprowadza
na drugą stronę placu. Uprej-
mość jednak swoją posunął
aż do tego stopnia, że mnie
do samego domu odprowadził.

Benguet.

Chciałby się dowiedzieć o pani
nazwisko i adresie.

Lordillac.

78.
Jest pan moierz mówić coś po-
dobnego. Bouquet.

Naturalnie, że tylko w tym
celu. Jeżeli panie go nie rwa-
cie, że to ja rnam go do-
skonałe. To skonstruuj Don
Juan. Nie było podobno do-
ład kobiety, która by mu się
oparła. Sam mi to przynaj-
mniej powiedziasz.

Lardillat.
Protestuję! Bouquet ocierwia
mnie.

J. Mariolle.

(b. nprzejmnie) Jestem o tem naj-
mocniej przekonany i serdecznie

drękniję ra przystęps, jakg pan
wyswiadczytes' mojej córce.

Lardillac.

Ah pani! Jestem niemiernie
szczęśliwy, że tak rachycząc-
cej osobie mogłem być wyte-
rzym.

J. Mariolle.

(z przywilejem) Jeżeli tak, to
skorzystam z pańskiej uprej-
mości i poproszę o wyswiad-
czenie mi jeszcze jednej przy-
stugi.

Gabyela (n.s.)

Co to może być?

Bouquet (n.s.)

Oho, tak od razu?

Lardillac.

Może pani na mnie liczyć.

J. Mariotte (do Gabryeli)

Dajcie panu Bonquetowi sokół
wisniowego.

Gabryela.

Wstych miast! Chodzi pan ze
mną. (wychodzi na lewo ramię,
rając z sobą butelkę i pakiet)

Bonquet.

Idę. (n.s.) Chcę mieć się por-
być - to drwne!

(wychodzi na lewo)

Scena 13.

J. Mariotte - Lardillac.

J. Mariotte.

Klasnie pan Bonquet opowiadał

mi, że walki je porada.

Lardillor.

Jaka porada?

P. Mariotte.

Podwzrostek. I podobno
otrzyma ją ktoś z centralnej
administracji.

Lardillor.

(nie rozumiejąc) Tak, ale...

P. Mariotte.

Od wuja swego, pana de la
Mare, umiataś pan przecież
coś o tem słyszeć.

Lardillor (zdumiony)

To pani wie, że de la Mare
jest moim wujem?

P. Mariotte.

Powiedział mi to mój rzeź.

Lardillac.

Lieć? Stha - mazi tej pani...
/podawaj na lewo, gdzie odesła

Gabryelaj

P. Mariotte.

Tak jest, mazi mojej córki.

Lardillac.

A ratem ja muszę znać pani
ręćcia? P. Mariotte.

Jest pańskim kolegą. To Lam-
bertin. Lardillac.

Co? Lambertin? Pani jesteś
jego tesciową? Ja jestem w do-
mni Lambertina? W domu „re-
larnego ertowiska!” A to para-

nie! Nie, tego się nie spodziewałem! Wiesz to ja jego rone, racie... (poprawiając się) to jest, towarzyszytem jego ronie? Nie, to Kapitalne! Kapitalne!

J. Mariolle.

O ile wiem, to Lambertin nie jest w Taslach u pana dyrektora.

Lardillac.

Prawda, Tasława pani. Mój wuj nie lubi go.

J. Mariolle.

Wiesz nie przypuszczasz pan, że mój riec mógłby dostać tę poradę?

Lardillac.

Właśnie, chyba musiałby się
bardzo starać, a wiem, że ra-
pachy ^{Bambergera} jego nie porwałoby na to.

J. Mariolle.

A gdyby ktoś inny postarał
się o to? gdyby gorąco polecił
go panu dyrektorowi.

Lardillac.

O kim pani myśli?

J. Mariolle.

O panu.

Lardillac.

Ale ja nie mam prawie
żadnego wpływu. Zresztą
pomówię z nim, skoro pani
sobie tego życzy. Byłoby je-
dnak lepiej, żeby ktoś inny

tem się rajat. / Gabryela wcho-
dzi z lewej i zdejmując kapelusz
i obmyciej sta przykłada cor-
 ka panu.

Scena 14.

P. Mariolle - Lardillas - Ga-
bryela - potem Lambertin.

P. Mariolle.

Lardillisz pan ratem, że moja
 córka... Lardillas.

Dzma bardzo dobrego przy-
 jęcia, za to więcej. (n.s.) jest
dostatecznie ładna.

P. Mariolle.

X Radzisz więc pan, żeby się sa-
 ma udała?

Lardillae

Oczywiście. Mój wój jest nad-
zwyczajnie uprzejmym dla pani.

I dwoje pięknych sern naj-
łatwiej zdobyją wywrzeć na
nim wplyw pożądany.

Lambertin

(wchodzi głośno redniwiony)

Ph, Lardillae ? (n.s.)

Oregor ten znówu chce?

Lardillae

Jak się masz, najdroższy przy-
jacielu. (podaje mu rękę)

Lambertin

Dzień dobry. (n.s.) Słucham
poruczenia.

Fabryca

Ten pan był tak grzecznym..

F. Mariolle.

(przenywieja jej - do Lambertina)

Przygność ci bardzo waring
wiadomość.

Lambertin

Czy to ra wiadomość?

F. Mariolle.

Czy chciałbys zostać podpre-
fektem?

Lambertin

Ja? podprefektem?

Gabryela (n.s.)

Co to ma znaczyć?

Lardillae (n.s.)

~~Placogoriby nie miał chcieć?~~

F. Mariolle.

Odpowiedzie.

Lambertin.

Naturalnie, ie chiałbym.

P. Mariolle.

No, to dobrze, bo własnie wa-
żnie posiada.

Lardillac.

Przyszedłem własnie, żeby się o
temawiadomić. Teraz musim
natychmiast rozpocząć starania.

Lambertin.

Trudniłes się dla mnie?

Lardillac.

Nie, kór stał? Miedzy ko-
legami! - A przysięs ty nie
robisz tego dla mnie?

Lambertin.

Nie.

Lordillac.

Pokazuje się, że jestem lepszym
od ciebie.

Lambertin

Nie bój się, nas prawie żadne
stosunki. Nie rozmawiamy
prawie z sobą.

Lordillac.

Dlatego też skorystam z tej
sposobności, ażeby się zbliżyć
do ciebie.

Lambertin

Zdaje mi się, że spadłem z obło-
ków. Wskazywałbym raczej drze-
wko ci serdecznie. (podaje
mi rękę)

Lordillac.

Przyjemnie mi, że mogę ci się

przystąpić, a w obec moją będę
twoim gorącym protektorem.

Lambertini

Tego nie rządzą.

Lardillae.

Ja też to robię z własnego
podejścia. (podaje mi rękę)

Legnam panie.

J. Mariolle.

Wszyscy będziemy panem nie-
szmierznie obowiązani.

Lardillae.

Ah, nie warto o tem mówić.
(do p. Mariolle) Będę pani zda-
wał relację. (u s.1 Osobliwy-
ny męża - to kapitałne.
(wychodzi głębiej)

Scena 15.

Lambertin - P. Mariolle - Gabriela

P. Mariolle.

Bardzo miły człowiek!

Lambertin

Nie, ja tego jeszcze nie mogę
projąć. Lardillac u mnie!
Nwielbym się odwrócił, gdybym
tu robaczył ministra.

Gabriela.

Leby tyko chciał poprzeć two-
ją nominację.

Lambertin

Jakże mógłby mieć w tem in-
teres?

P. Mariolle.

Przyjemność wyświadczenia ci
przystąpi.

92.

Lambertin.

W tem jednak coś jest. More
jaka intrzyga biurowa.

Gabryela.

Możesz przecie tak dobrze
zająć to stanowisko, jak
kiedy inny.

P. Mariolle.

Naturalnie.

Gabryela.

Pani podprefektowa - to
brzmi wcale nieile.

P. Mariolle.

Będziemy przyjmować, da-
wać kawe - obiady.

Lambertin

A najdalej za miesiąc mama

będzie stawiać kabałę... same-
mu biskupowi.

P. Mariolle.

A dla czego by nie?

Lambertin

Ale przedewszystkiem nie za-
pomnijmy o Lurannie. Czy
nie pojedziecie po nią na dwor-
zecze?

P. Mariolle.

Nie ma nic pilnego, bo pociąg
z Hawru spóźni się dziś o
godzinę.

Lambertin

Ktoż to powieściwał?

P. Mariolle.

Moje karty.

Lambertin

Ja mierzę tylko w rokstad jazdy.
 (patrzy na zegarek) Za dwie
 minuty pociąg przyjdzie.

Gabryela.

Luzanna będzie nas szukać.

P. Mariolle.

Towarzysze, nie spóźnie się o go-
 dzinę, więc nie potrzebujemy
 się spieszyć. (wychodzi na
prawy z Gabryelą, która na-
biera okrycie i kapelusz)

Scena 16.

Lambertin - Boquet.

Lambertin.

Nie już nie rozumiem! Lar-

dollar, ten riblarowany vor-
gustnik, ten Don Juan, raczy
mna się rajnować. Nie, to
jest dla mnie coś zupełnie
nowego. Boquet.

(wpada z lewej) Przedko cukier,
czy mi macie tu cukier?

Lambertin
(odwrócony) Boquet?

Boquet.
Ah, to ty Lambertin.

Lambertin
Ty tutaj?

Boquet.
Jak się masz?

Lambertin
Dziękuję, nie źle. Chyba już

96.

całe wino dris' do mnie przyjdzie. Ale co ma rozumieć ta maskarada? (wskazuje na jego fartuch).

Bouquet.

Przyrządzam krem à la ~~Ekobelen~~
Lambertin.

A la ~~Ekobelen~~?

Bouquet.

Przechodząc tedy, wstąpiłem, żeby ci dzień dobry powiedzieć, aż tu twoje panie raczyły mnie prosić, żebym przyniósł kucharek.

Lambertin

(z powątpiewaniem) Jakto, prosiły cię? (u.s.) Aha, rozumiem.

49. 97.

No, to rzedwie przynajmniej
z nami obiad.

Bouquet.

Terli już koniecie tego pra-
gniesz.

Lambertin.

Bedzie nam bardzo przyjemnie.

Bouquet.

Oy Lardillae już poszedł?

Lambertin.

Widziates go?

Bouquet.

Naturalnie.

Lambertin.

Przyszedł mi powiedzieć, że
wakuje posada podprefekta.

Bouquet.

Przepraszam, bo tę wiadomość

ja przyniosłem.

Lambertin

Ty?

Bonquet.

Ależ ja, nic! inny.

Lambertin

W takim razie, po cóż on tu
przyszedł?

Bonquet.

Spotkał na ulicy twoją siostrę,
szedł za nią.

Lambertin

Aha!

Bonquet.

Podał jej ramię i odprowadził
do domu.

Lambertin.

(z gwieżdżym fakto? Gabriel)

wychodźta i wróćta pod rękę
z Landillakiem?

Bouquet.

Nie wiedziałeś o tem?

Lambertin

Nie. Ale dlaczego ratowano
to przedemną?

Bouquet.

Nie wiem.

Lambertin

(gwałtownie otwierając drzwi

z prawej) Nie ma nikogo,
żadnej osoby. A... teraz rozu-
miesz dlaczego Landillon przy-
wrócił mi swoją protekcję.

Bouquet.

Do czego? w sprawie tej pod-
prefektury?

Lambertin

Niech sobie pan dyrektor rat-
trzymaj posadę, a ja ratrzymam
pięć i będę jej teraz dobrze
pilnował.

Bouquet.

A więc nie pozwolisz jej pojsi
do pana de la Mare?

Lambertin

Do pana de la Mare?

Czyś oszalał?

Bouquet.

Spodziewałem się tego i
z góry przewidziałem twojej
tęciowej, że nigdy się na to
nie zgodzi.

Lambertin.

Yakto? więc moja teściowa
chce, żeby Gabriela była su-
plikantką w tej sprawie?

Bouquet.

Prawdopodobnie, bo wypry-
tała się, kiedy dyrektor pruj-
maje.

Lambertin

No, zdaje mi się, że i ja mam
prawo parę słów w tej kwe-
stji powiedzieć. Tymczasem
drzeźnij się Bouquet.

Bouquet.

Spełnitem tylko mój obowiązek.
Gdybyśmy nie mieli przyjaciół,
co by się niewar z nami stało.

Lambertin

Osiwiadczy zaraz pani Mariolle
moje zdanie w tym wzglę-
dzie — Krótko i wkrótce.

Bouquet.

Tylko proszę cię, nie tak gorąco.
Jak myślisz, kto też dostanie
tę poradę? Lambertin

Że ja nie, ra to ci ręce.

Bouquet.

Moje Liegeux, jest jedynym
ze starszych urzędników... a
wzrytem jego rona takwie po-
twórca raszugi w obec dy-
rektora. Lambertin

A moie też Challardou?

Bouquet.

8... ten ra głuپی.

Lambertin

Głupota wcale nie przeszkadza
do kariery, ale na to ma ta-
dna, kuryntę w konserwatorium.

(słychać drwonek)

Bouquet.

Tak, ta kuryntka wyszkola
już dla niego 500 fr. gratyfi-
kacji na Nowy rok.

Lambertin

I trzy miesiące wolno z całego
garu.

Bouquet.

Wstrętny człowiek.

Scena 17.

Ciri - Luranna - Adela.

Adela.

(wchodzi głośno) Pani ^{lewy} Henderson przyjechała.

Lambertin

Och, Zuzanna!

(Zuzanna w podrobinem ubra-
niu ukazuje się w głębi i wno-
si drobne pakunki)

Adela.

Proszę pani.

Zuzanna.

(do Lambertina) Pan pewnie
jestes' moim swagrem, nie-
prawda?

Lambertin

Tak jest, pozwól mi się pani
ratem uściskać. (ściska ją)

Zuzanna.

Fotografia panaśka, którą posia-
dam jest doskonała, purna -
tam pana odram. Ale muszę
wymać, że nie jesteście rbył
uprzejmi, na dworcu nie było
nikogo. Gdzie jest Gabrye-
la? gdzie mama?

Lambertin

Poszły właśnie na przeciw pani.
Luzanna.

Jesmy się widocznie zwinęły.
Jakie się mają?

Lambertin

Bardzo dobrze.

Bouquet (n.s.)

Na mnie nic nie rwała.

Zuzanna.

(oddając paluszki Adeli) Wzito,
kochana Adello.

4

Adela (uradowana)

Pani ma moje imię? (składa
paluszki na bokny)

Zuzanna.

Naturalnie, w listach było
i o tobie wzmianka... A te- 5
raz proszę cię, podaj mi
cieplej wody.

Adela.

Natychmiast. (wychodzi głębiej)

Zuzanna.

(wskazując Bonquet) A to ra-
pewnie wieniec, stary stuga? 6

Bonquet (obracany)

Czy znasz ?

Lambertin

(przedstawiając go) Pan Bon-
quet, przyjaciel nasz i kolega
biurowy.

Lwanna

7: Prezent pan pomysł. 2

Bouquet.

To Lambertin raczył, bo po-
winien być mnie od razu
przedstawić.

Lambertin

Zapomniałem

Lwanna.

8: Powoł panie swagrze, że ci
się jeszcze raz przypatrę. Twarz
otwarta, serce i łagodność.
Musisz pan być niezwykłym

stawieliem.

Lambertin

Nie mylisz się pani.

Lwanna.

Tam ratem powierzyła mamą
srebrze naszej Gabryeli. Ko-
chasz już pan bardzo?

Lambertin

Ładuje mi się, że trudno by-
toby znaleźć kowdziej rako-
chanego meża.

Lwanna.

Przyjemnie mi to usłyszeć. 10

Adela.

(wchodzi głębia z drbannos-
kiem opartej wody) Jest woda
gorąca, proszę pani.

Lambertin

(do Zuzanny) Wskazę pani
jej pokój. Zuzanna.

Jeretis pan Tasław.

Lambertin

Mammy cokolwiek raszczypte
mieszkanię, ale pani wie, że
w Paryżu trzeba się ograni-
czać. (wychodzi z Zuzanną
na prawo)

Bonquet (d.s.)

Ladna kobieta, ale nierbył
domyslna. Do licha, przecie
nie wyglądam na stwającego,
nawet gdy jestem w fartuchu.

Adela.

(obierając paluszki) Tędy pan

razar do kuchni i wynieść
sałatę. (wybiega na prawo)

Bouquet (oburony)

Co! ja mam wnieść sałatę!

Ciemni już lepiej nie kwie
mi rzywać talerzy? Luchwate
driewczyństwo.

Lambertin

(wraca i mówi jeszcze ku
dozownikowi) Jeżeli panu będzie
czego potrzebować, proszę ra-
wotać Adela. (do Bouqueta)

Wspaniała kobieta! prawda!

Bouquet.

(mruckliwie) Tak, tak! tylko
nie rna się na ludziach.

Lambertin

Od dwóch lat jest wdową i
posiada pręko 200.000 fr.

Bouquet.

Tem lepiej dla niej.

Lambertin

Cos' nie jesteś dziś w różo-
wym humorze?

Bouquet.

Yakże mam w nim być?
Twoja teściowa wysyła mnie
do kuchni, siostra twojej siostry
bierze mnie za stwającego, a
wreszcie twoja kucharka wy-
daje mi rorkary.

(wraca się na lewo)

Lambertin (śmiejąc się)

Trudno, trzeba pracować, żeby
na obiad rastawić.

Banquet (zgnieźlenie)
Idę teraz niesrać satatę.
(wychodzi na lewo)

Lambertin.

A idź sobie do diabła, stany
głupcze.

Scena 18.

Lambertin - P. Mariolle - Gabryela.

Gabryela.

(wchodzi z matką gębą)
Nie spotkaliśmy Lwomay.

P. Mariolle.

Pociąg widocznie się nie spó-
rnił.

Gabryela.

Alte gdzie ona może być?
 (obie rdejniny skrycia i kapelusz)

Lambertin

Twoja siostra jest w swoim
 pokoju.

Gabyela.

Oczekujesz mi tego od ram
 nie powieściat?

P. Mariolle.

Jestes' widocznie roztargniony.
 (obie muracuja się na lewo)

Lambertin

(ratrzymując je) Powólcie jej
 się spokojnie przebrać, a tym-
 czasem pomówimy z sobą
 trochę.

P. Mariolle.

Oczek?

Lambertin (do Gabryeli)

Placęgoś mi nie powiedziała,
że Lardillac raczył się i
tu odprowadzić?

Gabryela.

Wieraj mi, że...

Lambertin

Jestes' mierzwiernie lekkomyślną.
Niedawno oderwałaś się
na ulicy do jakiegoś pana:
"Daj mi 20. fr. bo restauritam
w domu portmonetkę." Do-
gawady postępujesz jak dziecko.

Gabryela.

Ten pan tak był do ciebie po-
dobny, że mi się zdawało, że
to ty jesteś. Wiesz, że mam

Krótki wrok.

Lambertin

Ale Lardillae, wcale nie jest
do mnie podobny. Nie ratas'
go, a mimo tego pótas' z nim
pod rękę do domu.

Gabryela.

Było mi uprzejmie bardzo
nieprzyjemnie, ale nie mogłam
się od niego uwolnić.

Lambertin

Nie powinno się porwalać
pierwszemu lepszemu zblizac'
do siebie, a tembardziej, nie
powinno się własnemu mężowi
opowiadać bajerek, zamiast

wszystko wynosić otwarcie.

F. Mariolle.

To ja nie pozwolitam jej powiedzieć prawdy. Pon jesteś gwałtowny, podejrzliwy, a co ta sprawa jest tak błaha, że nie warta o niej wspominać.

Lambertin

Nie jestem tego rodzaju. Ina przysięść. Kochana pani Mariolle, robowiadaj się radomować tylko własnymi sprawami — a mnie, porostaw może.

Gabryela.

Czy to ra tan Ferdynandzie?

P. Mariolle.

Jest to mój rzeź tak do mnie przemawia?! tego nigdy się nie spodziewałam! spotykałam się to po raz pierwszy w życiu!

Lambertin

Mam nadzieję, że po raz ostatni. Ostał się będę rozdawać w moim domu - redaje mi się, że jestem już pełnoletnim.

P. Mariolle.

Czy nie masz nam pan już nie więcej do powiedzenia?

Lambertin

O, jeszcze nie skończyłem. Ode

wiem, chcecie pani posłać Gabryele
do pana de la Mare.

P. Mariolle.

Naturalnie. Lambertin

Strzeby go prosiła o nomina-
cję dla mnie?

P. Mariolle.

Oczywiście.

Lambertin

Powiem pani tylko tyle: Je-
żeli ^{portret} Gabryela to robi, na-
tychmiast się z nią portretuje.

Gabryela.

Portretuje się?

Lambertin

Natychmiast!

Gabryela.

Ferdynandzie!

P. Mariolle.

Liecin!

Ekona 19.

Ciri - Zuzanna.

Zuzanna.

12 Cho! jakas' awantura!

Gabryela (z radością)

Zuzanna! (ściska ją)

P. Mariolle.

Drogie dziecię! (ściska ją)

Moja najdroższa Zuzia!

Proszę, nie, a nie
nie rzućmy.

Zuzanna.

13 Ity mamo nie rzućmy się

wcale. Ale ra to Gabryela og-
 mnie rmiemiona. Gdyś odje-
 dżata, była chudym podlot-
 kiem, a teraz jest śliczną, ro-
 winiętą kobietą.

Gabryela.

Jakiem szczęśliwa, że cię
 widzę znów! Ah, mam
 ci tyle do powiedzenia.

Zuzanna.

Na to będzie jeszcze doryć
 czasu. Przedewszystkiem po-
 wiedz mi, o coście się tu kło-
 pili?

Gabryela.

Zarecam ci, że to była do-
 giero pierwsza sprzeczka.

P. Mariolle.

Zuranno, ty rozsądzisz, kto
ma słuszość.

Lambertin

Dobre! Zuranna niech roz-
sądzi.

Zuranna.

Ale o co tu idzie?

P. Mariolle.

O mego rzeźca. Od trzydziściu
lat jest już w ministerjum.

Lambertin

To nie każdy minister może o
sobie powiedzieć.

P. Mariolle.

Jaktem zarabia 2.400 fr.

122.

Lwramma.

Mo, to nie wiele.

P. Mariolle.

Nie dosyc, ze sam sie nie
stara posunac na przed,
ale co wiecej i nam przeska-
dra w wyrobieniu mu pro-
tekcji. Pragnie wysytko
randrigrac tytko osobistej
rastudre.

Lambertin

Tak jest, istotnie.

Lwramma.

Tam jestes dumny?

Lambertin

Bardzo dumny.

P. Mariolle.

16

Oddałam mu rękę. mojej córki
w nadziei, że dobędzie so-
bie świetne stanowisko.

Lambertin

Tak - po Karty to przepowie-
dowały.

P. Mariolle.

Gdy się osiwia derał, powie-
dował te słowa : „Nie mam
wprawdzie świetnej przeszło-
ści, ani teraźniejszości, ale
mam ra to przyszłość przed
sobą. „ - Ładna mi przys-
tość ! Jeżeli mu nikt nie
powie, to będzie taka sa-
ma, jak teraźniejszość i

przeszłość. Dlatego chce ra-
 czać dzisiaj.

Lambertin

Wbrew mojej woli?

P. Mariolle.

Tak jest, nawet wbrew twojej
 woli.

Lucerna.

Uspokój się mamo.

Gabryela.

~~Ferdynandzie, bądźcie rozsą-
 dnym.~~

P. Mariolle

Nie mogę już tego mieć dłu-
 żej. Na nowy rok wrzuci
 jego kalendarz dostali gratyfi-
 kacje - ale on - nie. Wroczenie

lipcową nawet portjer rostał
dekorowanym - tylko on nie.

Czy to długo będzie jeszcze
tak trwać? Lambertin

Dopóki de la Mare będzie
moim ruiernchnikiem, niczego
spodriewać się nie mogę.

P. Mariolle.

Teraz trafia się doskonała
spozobność, mógł by rostać
podprefektem. Potrzeba tylko
krok zrobić, ażeby się osią-
gnąć, a on i tego zrobić nie
chce. Lambertin

Nie - i powtarzam po ty -

siąg wary, że go nie robię.'

Gabryela.

To powołanie przynajmniej komu
innemu postarać się. Czyż to
mianaturalne, żeby rona ra-
jęta się sprawą swego męża.
Nieprawdaż Luranno?

Luranna.

Jestem także tego zdania, 18

Lambertin.

Nie doprowadzajcie mnie
do ostateczności. Czyż nie poj-
mujecie, że muszę mieć bardzo
wary powód, jeżeli nie po-
rwalam mojej ronie pójść
do dyrektora.

P. Mariolle.

Wymieńcie pan przynajmniej
ten powód. Lambertin

Dobrze, dowiedźcie się naraz-
pię w jakki sposób wyrzkuje się
wypisze posady. Tak, prawda, in-
ni awansują, ale wiecie komu
to radniceraja? jedynie
swoim rozumem. A ponieważ
pan dyrektor jest szczer-
nie bardzo rozważliwych
obyczajów...

P. Mariolle.

Jakto? taki dygnitarz?
niepodobna!

Lambertin

Dostojenstwo nie przeszkadza
 mu wcale być swym na wójs-
 ki. De la Mare tych tylko
 proteguje, którzy mają Tade
 i ... uprzejmie żony. O innych
 nie troszczy się wcale.

Gabryela.

To okropne!

Zuzanna.

Żadnik nie skarci jego po-
 stępowania? 19

Lambertin

Witt. Byle tylko codziennie
 pewna liczba aktorów została
 posłana ministrowi do podpi-
 sania, to reszta może pan
 dyrektor robić, co mu się tylko

podobna.

P. Mariolle.

V/ Jereliby istotnie tak było, to
cennu go pan nie redema-
skujesz?

Lambertin

Bo dostalbym ra to dymisję.

P. Mariolle.

E... przesadzasz!

Lambertin

Pytaj się pani Bogneta.
Z całego biura tylko ja i
on nie przedstawiliśmy
panu dyrektorowi. Bognet
nie mógł swojej przedstawić,
ponieważ jej nie ma.

Luzanna

Nasz dyrektor jest może wiel-
bicielem Kobiet, ale to jeszcze
nie dowodzi, żeby był rozpust-
nikiem.

Lambertin

Nie rna go pani.

Gabryela.

O, chyba nie jest znova ta-
kim potworem.

P. Mariolle.

Przeby go nabierzcie ocenie,
musiałabym go porwać oso-
biscie.

Gabryela.

Jeżeli jednak jest tak nie-
bezpieczny.

Zuzanna.

Nie wierzę, żeby mężczyzna
mógł być niecierpiącym, ja
przynajmniej jeszcze takiego
nie widziałam.

BIBLIOTEKA TEATRALNA
Własność Gminy m. Lwowa.

Lambertu

O, bo pani jesteś energiczna,
dristną kobietą - ale Gabriela
takła lekkim, bebronna, by-
tały dla niego bardzo łatwą
zdobyć. Gabriela.

To prawda, jakby był bardzo
natarczywym, ja bym gotowa
przypadkowo stracić.

Zuzanna.

(śmiejąc się) A omdlenie
w takim razie byłoby bardzo

niewalktyczne.

Lambertin

Jego reputacja tak jest usta-
loną, że wystarczy, aby nawet
najnamięnniejsza kobieta raz
była u niego, a już jest
skompromitowaną ~~i staje~~
~~się przedmiotem najzłotostw-~~
~~szych plotek~~. Dlatego też
moja żona nie pora się
z nim wcale.

T. Mariolle.

A gdybyśmy ją z nią posła?

Gabryela.

Nie, mamo - Ferdynand
ma słusność - nie pójdę do

ministerjum.

Luranna.

Stu Mass rację.

Lambertin.

(do p. Mariolle) A co? Mam
wszystkie głosy na sobą!

P. Mariolle.

Wież nie mówmy już o tem.

Luranna.

Nie, stanswero, Gabryeli
nie można narazić na ta-
kie niebezpieczeństwo.

P. Mariolle (u s.)

A więc ja sama się na nie
narazę.

Luranna (do Lamb.)

Oczy pan ^{dyrektor} de la Mare nigdy
nie widział pańskiej rony?

Lambertin

Nie, bo starałem się o to usil-
nie, aby mnie jej nie pokarać.

(Luzanna śmieje się) / I czego
się pani śmieje?

Luzanna.

Nie - nie. Gabryela (do Lamb.)

Imieważe się jeszcze na mnie?

Lambertin

(całując ją) Ocie, moje dziecko.
Skoro już sprawa została
zakończona... No, ale teraz
nadszedł przedko rześć obiad.

Luzanna.

25 Spieszysz się pan gdzie?

Lambertin

Tak jest. W pensjonacie Tom-
padeur są dziś inżynier
przełożonej - muszę tam być
wiersz koniecznie, bo ucze-
nice będą grały moją sztukę.

Luzanna.

Twiszka sztuka?

Lambertin

Tak. Jest to nowa przeróbka
Moliere'a "Doktorka z musu".
Od czternastu dni nie ma już
lekcji, bo uczennice robią ci-
gle próby. To też sztuka po-

inna pójść wcale dobrze.

Będzie przeto 50. osób na
przedstawieniu, będzie także
i sekretarz naszego ministra.

J. Mariolle.

Sekretarz samego ministra?

Laurana.

To doskonała sposobność. 26
przedstaw mu się pan.

J. Mariolle.

Postaraj się, aby przeto-
piona poparta twoją kandy-
daturą.

Lambertin.

To wam skłutnie przyrzekam.
Cóż, jesteście ze mnie radzoni?

Luzanna.

27 Mam przecucie, że pan rosta -
niez podprefektem.

Lambertin

Doprawdy?

Luzanna.

28 Bo wierzę w to, że prawdzi-
wa rosną powinna tryum-
fować.

Lambertin.

Tak jest, musi tryumfo-
wać.

Scena 20.

Cis, Bourquet - potem Adela.

Bourquet.

(Wchodzi z lewej) Czas byłby
już siadać do stołu.

Lambertin

Którego ordo będzie twój
Krem a la ~~Thobelen~~ ^{Kuropotkin}.

Bouquet.

Niestety! - nie udat się.

Lambertin

Jakto?

Bouquet.



Zupełnie się nie udat. Ale
to nie, za to na przyszłość nie-
długo przyrządzę wam coś
innego - dopiero będziecie
palec obliwywać. Ekscysem
drisiejszy obiad może się obyć
bez kremu, bo jest i tak obfi-
ty i doskonały.

Lambertin /ns/

To czy ja go n licha zapro-
sitem?

Adela.

(wchodzi z lewej) Wzra na
stole.

Luzanna.

Panie podpręśkacie - podaj
mi wódkę.

Lambertin.

Oby ciart pani wrzeczywi-
stnit się.. (wychodzi na lewo)

J. Mariolle. (d.s.)

Jutro ja sama pójde do te-
go rozpusztnika.

Zastona spada.

Koniec aktu 1^{go}.

Akt 2.^{gi}

Gabinet dyrektora ministerjum.

Urządzenie wytworne, lecz poważne -
z prawej wielkie wspomniane biurko,
zatorzone papierami, na jego bregu
od strony publiczności umieszczone
trzy drwonki elektryczne. Na lewo
wielka stomana. W głębi na środ-
ku kominek przyodzobiony binstem
republiki i dronca kandelabrami -
po obu stronach za przecięciem
drzwi, z tych prawe do przedpoko-
ju. - Z prawej i z lewej drzwi
boone - sofa z aktaami i krze-
słami - fotel - kresła.)

Scena 1.

Bunel (w liberyi bin-
rowej wchodzi z lewej i wnosi
dwie pakiet listów, które ogląda
i następnie kładzie na biurku.)

No to dopiero pan dyrektor
ma dziś obrygnięć korespon-
dencyj! Jni trzeci transport.
A pewnie same prośby i listy
polecające. (ogląda koperty)
To r i rby deputowanych...
i to irba deputowanych -
irba deputowanych - senat -
irba deputowanych - irba
deputowanych - rada muni-
cypalna - irba deputowa-
nych. - Jacy si ludnie są
natrętni! (waczając wie-
które listy) No, te r pe-
mroszcia od Kobiet - także
ich mnogość. Kobiety i de-
putowani, to istne dwa ra-

Ki tożraće nasz rarrąd.
 (próbie do drzwi bocnych
z lewej) Proszę wejść!

Scena 2.

Bunel - Bongnet.

Bongnet (wchodzi
z aktorką) Pan dyrektor jeszcze
 nie wrócił ze Śniadania?

Bunel.

Jeżeli nie. Czy to do podpi-
 sania? Proszę mi dać.
 (pierwsza aktorka od Bongneta i
kladzie na biurku)

Bongnet.

Stuchajno Bunel, przed-
 wczoraj o swartej nie mia-
 tem jeszcze rapalowej lampy.

Bunel.

Bo przecież było zupełnie
widno.

Bouquet.

To jeszcze nie powód. Wedle
przepisów w tej porze roku,
wszystkie lampy powinny
być punktualnie o czwartej
porazalone. — Ładom więc
lampy, chociażby jej nawet
nie potrzebował.

Bunel.

Dobre, przyniesę ja nam.
Nie to przecież wszystko je-
dno.

Bouquet.

Jak mi będzie przeszkadzać,
to ja zgaszę — ale ty, powi-

nienes' józ codriennie rapalać.

To rupetnie tak samo jatk z ogniem,
na kominku takie mi dris'
nie rapalono.

Bunel.

Staturalnie, bo na dworze
upat.

Bouquet.

Upat nie powinien się wcale
obchodzić.

Bunel.

(wskazując kominek) Ależ na-
wet sam pan dyrektor nie
kwaci tu dris' palic'.

Bouquet.

Jeżeli pan dyrektor nie
trzyma się przepisów, to już
jego rzecz ... ale ja powinie -

rem . . . i muszę mieć ogień.

Bunel.

Bédrierr go pan ravar miał.

Bouquet.

Jab mi bédrie ra goraco,
to otworzę okno - rorunierr,
i wypuszcze przepisaną ilość
ciepła.

Bunel.

(patrzac na Bouqueta)

Oj, jednak to sivięta praw-
da, że życie biurowe ogro-
ma nie ruinowania ludzi. Pan
~~nie~~ nie byłeś takim.

Bouquet.

Czy chcesz przez to powie-
dzieć, że się restarta i ri-
djaciat? Bunel.

Ah, coś znów, panie Bon-
 quet! Gdybyś nawet tak
 myślał, nigdybyś się prze-
 cież nie osiwielił... To praw-
 da, ~~se pan~~ ^{moim} miales' zawsze
 przychy i regytiliny chara-
 kter - o ~~ciem resorta~~ ~~wrasy~~
~~wiedza~~ - ale trudno, to już
~~nie paniska wina~~. Mimo tego
 przecież jesteś pan w biurze
 jedynym ~~przewodnikiem~~, któ-
 rego sławię - no - i pana
 Lambertina także.

Bonquet.

Bo widzisz, ty sam jesteś
 ucieleśnieniem. Trochę leniwy, opie-
 szaty w stwiebie... ale ucieleśnieniem...

A to żywi ~~nie~~ jest nie mały
 rastuga, żeby tu rostać uści-
 wym. Stanowisko, które raj-
 unjer, porwała ci być pręsto
 świadkiem różnych rzeczy,
 które... Bunel.

Nie mówimy o tem lepiej.

Bouquet.
 No, bo słysze historie nu-
 szą się nieraz drząc w tym
 powalnym gabinecie... i
 gdyby ściany mogły mówić...

Bunel.

Niktby im nie uwierzył.

Bouquet.

(siada na stół i kłuje się)
A co, czy nie mówilem?

(podaje Bunnelowi szpilke od
włosów)

Bunnel.

Czy to? szpilka od włosów!

Bouquet.

To okropne! Ah! - jakto
nie reszta, czy we wszystkich
wzrostach nie dzieje się tak
samo. Stuchajno Bunnel, nasz
cośkolwiek wpływ na dy-
rektora, powinniśmy mu
przecie przedstawić jak orka-
radnie postępuje.

Bunnel.

Albo to już raz powiedziałem
temu mu otwarcie co o tem
myśle, ale on Kwie mi zawsze
pójść do diabła i brzy dalej.

Teraz porwałam sobie tylko na
pewną demonstrację.

Bouquet.

Jakże to demonstracja?

Bunel.

Gdy wprowadzam tu jakąś
metodę, damy, odwracam
razem republikę twarzą do
ściany i wychodzę. / mówiąc
to odwraca bunt republiki
na kominku;

Bouquet.

Brawo, Bunel!

Bunel.

Staram się, żeby chociaż w ten
sposób porowy przyzwyczajenia
restaty rachowane.

Bongnet.

Et c'est na to pan de la Mare?

Bunel.

Gdy jest w dobrym humorze,
śmiej się - ale gdy jest rty,
grozi, że mnie wypędrzy.

Ja przecież z jego gniewu
nie sobie nie robię - i rda-
je mi się, że te demonstracje
dratują czasem na niego
i przyprowadzają do upa-
mętania. Być może nawet
nieraz wobec jego woli, spro-
wadzić go na drogę obo-
wiązków. Mówiąc między
nammi skłoda takiego cito-
wieka.

Bouquet.

Tak, to prawda, on jest nierównym cytowikiem! Tylko, rano nadto redemoralizowany. Oj, te kobiety! te kobiety! do czego one mogą nieraz cytowika doprowadzić! Tak przynajmniej słyszałem.

Wskazanie do drzwi bocznych z prawej

Bunel.

Prasę wejść.

Scena 3.

Pis - Lambertin

Lambertin (wchodzi)

z prawej, z aktami w ręku

Ocie ma jeszcze pana dyrektora?

Bunel (pomaga knyżce)

na biurku Ocie, jeszcze go nie ma.

152.

Bongnet / do Lambertina /

Ale, nie powiedziales' mi jeszcze...

Lambertin

O takiego?

Bongnet.

Jak się wczoraj udało przed-
stawienie w instytucie Bony-
dour?

Lambertin

Deshonale! „Doktorka z muzu”
miała ołbrzymie powodzenie.

Bongnet (redimowany)

Czy być może? — A prezo-
riona raportata się z sekre-
tarem ministra?

Lambert.

Natura nie, przedstawiła mnie.
Jak ci się też zdaje, co mi

powiedział? Kęse, że tego
nigdy nie zgadniesz.

Bongnet.

(namysłajac się) Czekajmo...
czekaj... Co on ci też mógł
powiedzieć?

Lambertin.

Widzisz, że nie zgadniesz.

Bongnet.

Oo... powiedział ci rape-
wnie jakiś komplement?

Lambert.

A tak... istotnie, ładny kom-
plement, bo najwyraźniej dał
mi do zrozumienia, że je-
stem... głupcem.

Bongnet (uradowany)

Doprawdy? /n s/ O, ten sto-
wiek ma trafny sąd!

Lambertin

Toprościu... głupcem!

Bouquet.

No, to mnie z nim pogo-
dziło.

Lambertin.

Jak ty to rozumiesz?

Bouquet.

Bo widziś, miałem go zawsze
za obtulnika i przesowi-
sra, ale teraz widzę, że ma
odwagę wypowiadać otwar-
cie swoje przekonanie. Je-
stem tem rachującym i pre-
warum go wroczyć.

Lambertin

18155.
Jakto? Cieszy się z tego, że
mnie narwał głupcem!

Bonquet.

Ale coż znów, mój Kochany.
Zresztą jestem pewny, że prze-
sadził.

Lambertin

Na szczęście, dbam tylko o
jego zdrowie, co i o twoje.
(przechodząc do drzwi bocznych

z lewej)

Bnuel.

Proszę wejść.

Scena 4.

Ciri - Chalarodon - potem

Liegevin.

Chalarodon.

(wchodzi z lewej, z aktami
w ręku) Cześć ma piana dy-
rektora?

Bouquet.

Nie, jeszcze go nie ma.

Bunel (do Chailardona)

Przychodźcie pan już trzeci
raz w ciągu pół godziny.
Czy sprawa jest tak pilna?

Chailardon.

Co ci do tego.

(publikumie do drzwi z prawej)

Bunel.

Proszę wejść.

Liegevin.

(wchodzi z prawej; w jednej
reke trzyma akt, w drugiej
małe pułeczko kawiniet w pa-
pier, które słowa za sobą)

Bunel (n.s.)

No, ten przychodzi już piąty raz.

79/187.
Liegevis.

(Uładowie niepastrzenie pabiet
na linrku - do Lambertina)

Cór, nie stychać nic nowego?

Lambertin.

O krewn?

Liegevis.

No, o podprefekturze.

Chalardon (do Liegevis)

Czy jesteś pan takim Kandy-
datem?

Liegevis. /wiedbale/

Mój Boże! tak jak i wie-
lu innych. A pan?

Chalardon.

Ja myślenie tak samo.

Bongnet /do Chalardona

Nie wyobrażam sobie pana
podprefektem.

Liegevis (inowiemie)

Y ja takie nie.

Chalardon (do Liegevis)

Y gran nim jerrare nie jestes!

Liegevis.

To się dopiero powłaric.

Bouquet (do Lamb.)

Za Chalardonem prrrema-
wia jego piękne pismo - a
ra Liegevis talent śmietne-
go nastadowania Ryplecisty,

ale... Liegevis.

O - Bouquet racyna być
dowcipnym.

Chalardon.

(do Lambertina) O - a pan?

Lambertin

Ja nie pragnę niczego i nikomu
protegować się nie pozwolę-
stawać : nikomu.

Liegevis.

To szlachetnie z pańskiej strony.

Chalardon.

Bardzo szlachetnie.

Liegevis (n.s.)

Dziękuję Bogu ! Jeden więcej.

Chalardon.

(do Lambertina) To rozumem,
to mi charakter!

Lambertin.

Moja dewiza jest : "Nagroda
prawdliwej racji".

Bouquet.

Dlatego też nigdy nie nie do-
staniesz.

Ekena S.

○

Ci - Lardillac.

Lardillac (wychodzi
z prawych drzwi w głąb)

Yak się macie, moi panowie.

Liegeris.

Ah, Lardillac!

Lardillac.

Kochany Lambertin, jak się
masz?

Lambertin (rimas)

Dzieni dobry panu.

Lardillac (m.s.)

Co nam się stało? (gł.) A...
pan Barquet, ciężej się, że
panna widzę.

Burel wychodzi drzwiami
na lewo w głąb

Liegeris (do Lardillanay)

Nie wiesz pan nic nowego?
Chalardon.

Przy wyj. nic panu nie powie-
 driał? Lardillac.

Względem podprefektury?
Liegevis.

Tak jest. Lardillac.

Owszem, wczoraj wieczór po-
 ruszyłem tę kwestję wobec
 niego. Chalardon.

Bardzo dobrze.
Liegevis.

Czy i kwi? Lardillac.

Odpowiedział mi te słowa:
 "Tym rarem postanowilem dać
 tę posadę najgodniejszemu."

Liegevis.

Do skona! Chalardon.

Chwalebny ranniar.

Bouquet.

Moje na ten raz tylko...
wyjątek przecież nie stano-
wi reguły... Lardillax.

To też polecił mi gorąco
Lambertina.

Chalardon.

O pan mówisz?

Lambertina

(Prinytowany) Proszę prosić
pana, żebyś tego nie robił.

Lardillax.

Ładnie jednak...

Lambertina

Tos pan ile sadził. A teraz
 nasze panu jeszcze parę stów
 powiedzieci - i cię się, że
 ci panowie będą świadkami.
Lardillac.

Stucham. Lambertin

Nawraź spotkałeś pana na
 ulicy moją rone, ścigates
 ja i gwałtem narucites jej
 swoje towarzystwo.

Lardillac.

Przedwzrostkiem oświadcam,
 że nie miałem rozrytu
 znać parolkiej rony.

Lambertin

Tak, ale teraz znasz ja pan.
 Radzę ratem ... rostan ja

w spokoju i nie przesładyj więcej.

Lardillae.

Tego, Kochany panie, niht mi
nallarae' nie moie.

Lambertini

Powiedziatem jasno i dobi-
tnie jak się na tę sprawę ra-
patruje .. i zrobisz pan
worsządnie, jeżeli się do mojej
rady zastosujesz. (odchodząc)

Zrobisz pan bardzo worsządnie.
(mychodni na prawo przez
drzwi boome)

Lardillae.

Czy on orzekał?

Chabardon.

Formates pan istotnie jego rone?

Ligieris.

Skiermienie pysna i raro-
rnniata osóba. Wyobrazicie
sobie, że mojej ronie dotąd
nie oddata mioty.

Chalardon.

A czy przynajmniej? Tada?

Lardillac.

Skierma. Chalardon.

Doprawdy? Lardillac.

Prześciana. A ja znam się
na tem, wiecie mi wierzyć!
Zresztą Bouquet zna ja, tak-
że, więc może radziadryć.

Bouquet.

Tak, tak, wcale nie brzydka.

Lardillac.

Oho, jesteś radoszko wymagają-
 cym, mój stary. — Powiadam
 wam sryk... sryk co się ro-
 wie. Co na Körtatly - jak
 odrażałość linii. Nie, czegoś
 podobnego nie spodziewa-
 tem się spotkać w Batignol-
 les. Skorom ja robaczył,
 nie opuścitem już i odpro-
 wadzitem do samego mieszk-
 ania. Tu poznatem jej
 matkę, bardzo przemawiają-
 cą, która mnie porządnie
 wyświadcza swoją opieką.
De la Mare (za renez-
 ansu, nie, nie chce nie sty-
 szyć.

84 16
Liegeois i Chalardon.

Ph, pan dyrektor.

Scena 6.

Cis - De la Mare. ++

nie trzeba

De la Mare.

(wchodzi z lewej w głębi -
ra nim Gentil i Bunel.)

W urzędzie tak być nie może,
jak się panu zdaje, gdybyśmy
kogoś chcieli słuchać, to-
byśmy łatwo na tem wyszli.
Ole przedewszystkiem, kto
pan jesteś?

Gentil.

Nazywam się Gentil.

De la Mare.

Czyż pan re mng mó-
wie?

Gentil.

Konieczność.

De la Mare.

No, to w takim razie mu-
sisz się pan zastanowić do
przepisów i postarać ^{formalną} o om-
djencję.

Gentil.

Chyba kiedy tu chodzi...

De la Mare.

O nie nie chodzi, dopóki
pan nie będzie pismien-
nie zameldowany.

Gentil.

Gdyby pan dyrektor jednak
wiedział...

De la Mare.

Przepisana forma musi być
zachowana.

Gentil.

Tylko jedno słowo.

De la Mare.

~~Pani Pontarion~~
Pontarion po raz ostatni:
Żądanie pańskie musi być
wyrażone w piśmiennej proś-
bie.

Gentil.

Ależ to mój brat...

De la Mare.

Pański brat zupełnie mnie
nie obchodzi. Legnam pa-
na. (idzie do biurka)

Bunel.

(odprowadzając Gentila do
drzwi lewych w głębi)

No, idzie pan, idzie i na-
gise proste. (wychodzi)

Scena 7.

Pier - bez Gentila.

De la Mare.

Ludzie często skarżą się, że
 w urzędach nie się z nimi ob-
 chodzi. Teraz moi panowie mo-
 glicie się przekonać.. widnie-
 liscie moje zachowanie się?
 Byłem grzecny, ale stanowczy
 z przymieszką ośrobiną
 ironji. Tak właśnie trzeba
 postępować. (odejmuje patto
i kapelusz) Czy jest tu pan
 Lambertin?

Bouquet.

Był tu dziś drugi z kolei.

De la Mare.

Nie pytam się kto był pierw-
 szym. Naturalnie pan - wiem
 o tem. Łą ludzie, którzy

nigdy nie przychodzi w porę-
mój siostreniec i pan, obaj
do nich naleyście. Pan przy-
chodzi zawsze pierwszy, a
wychodzi ostatni, - to jwi-
nie punktualność... to natre-
tność. (Wypisy namiętnego się)

Bouquet (d.s.)

On nigdy nie jest ze mnie
radoślonny.

De la Mare.

Moi panowie, w Chateau-
vieux wakuje podprefektura,
a pan minister, przerwacra
ją dla urzędnika z central-
nej administracji. Jestem ra-
tem obowiązany przedstawić

mu odpowiedniego kandydata.
 Wiecie o tem, moi panowie:
 że podprefektura jest urzędem
 zupełnie rbytecznym i mo-
 żnaby się bez niej doskonale
 obejść, bez żadnej szkody
 dla ogólnego biegu intere-
 sów. Dla tego też trzeba na-
 to - że się tak wyrażę - pa-
 sożytnie stanowisko, przema-
 rzyć człowieka, zdolnego
 i z wielką wartością osobi-
 stą, aieby potrafił ręcznie
 pobrywać bezcelowość swego
 urzędu. Czy który z was, moi
 panowie, rości sobie pretensję
 do tej synekdowy?

Liegevis.

Moja rona...

Chalardon.

Moja kurybka... (do Liegevis)

Trochę, mów pan pierwszej...

Liegevis.

Otoż moja rona jest słaba
i z polecenia doktora, po-
winna mieszkać w blisko-
ści morza...

De la Mare.

(ironicznie) Oha, rozumiem.

Bouquet (d.s.)

Wiedzą pransoneciarz!

De la Mare.

Innego powodu nie możesz
pan przedstawić? A więc
dobrze, postanowię się nad tą sprawą.

Chalardon.

Moja kuzynka, panie dyre-
ktorre ... De la Mare.

Dobrze, postanowię się takwie
i nad panistką kuzynką. ~~o~~
tymczasem moi panowie, ro-
stawcie miie samego. (do
Lardillas) Ty rostarń,
(Chalardon na lewo, Liegevis
wychodni na prawo przez drzwi
boczne) / X Bouquet.

(Kłaniając się) Panie dyre-
ktorre ... De la Mare.

(prorostko) Czegoż panurown
chcesz? Bouquet.

Chcę tylko pójść sobie. / n.s. /

Nigdy mu nie mogę do-
drzeć. (myślenie na lewo)

Scena 8.

De la Mare - Lordillae.

De la Mare (przez drzwi)

by przechadza się po scenie i po-
grawia wstępy w matem lusterku,
które wyjął z kieszeni - do Lordil-

lae. Przejrzynno powie.

Pewnie znów listy polecają-
ce - odpowiedź na nie, tylko
pamiętaj, w przyzwyczajonej for-
mie: Byłeś pan tak łaskaw
zwrócić moją uwagę na pana
X. Y. względnie do ryczenia
pauzliwego, ranotowatem sobie
jego nazwisko...

Lordillae.

(otwierając listy) Sph. przecież
 wiem... De la Mare.

Placęgo znown dais' rano
 nie przyordates' do biura?

Lardillac.

Wie mogłem, bytem rucem.

De la Mare.

Pewnie się znown całą noc
 lampartował. Czy ty się nigdy
 nie poprawisz? Zdaje mi
 się przecież, że już powinie-
 nes' mieć doryć.

Lardillac.

Żyję, tak jak wrypy.

De la Mare.

Przestrzegam się skłopotu, że
 z tobą będzie się... i jęśli

tak dalej pójdrze, to do reszty
zmiesdoterujes.

Lardillae.

Ek, przesadzać, Kochany mój
jasku.

De la Mare.

Przekonać się, że skoniczys
na roznieżerzenie mój.

Wstrzymaj się więc dopóki
cras. - Today mi garetz.

Lardillae.

Czy "Dziennik mroczny?"

De la Mare.

ekie - "Lycie paryskie." -

(prawda) Chciałbym ci już
dawno powiedzieć, że po-
winienes' się ożenić.

Lardillae.

Ożenić?

178.

De la Mare.

Naturalnie, bo inaczej czeka
się takie same ryzyko jak
moje. Czy myślisz, że to tak
przyjemnie w moim wieku
być samotnym na świecie.

Lardillae.

O ile wiem, to wyjazd
nie jest znów tak ryzykowny
nie sam.

De la Mare.

Poruci te niewczesne rowty
i posłuchaj mojej rady.
Rodzina daje dopiero praw-
dziwe przesłanie. Żona - dwie-
ci - coś to na rok. Koss.
/ przejechała dziennik i po-
kazuje mi ryzyko / Potrzebno...

90 179.

to mniego kobieta, a jaki
ma pieprzek ... niech ją...

Lardillac.

Oczy i na ten list mam tak-
ie odpowiedzieć?

De la Mare.

Oha jaki?

Lardillac.

Podpisany "Kobietka" swo-
jemu Kozuśkowi."

De la Mare.

(podrażniony) Oho, no, daj
mi ten list i idź sobie.

(bierze list)

Lardillac.

Ohe ... bo tam są jessere
i inne, które takie nie wy-
glądają na to, żeby pocho-
dziły z ich deputowanych.

De la Mare.

Wyrósie się!

Lardillae 1 d. 2. 1

Wie... ten "Kogucik" jako
apostół moralności jest ka-
pitałny. (rabiera niektóre listy
i wychodzą przez drzwi prawe
w głębi)

De la Mare.

(sam - kryta list) "Kobor-
ka swemu Kogucikowi".
(dwa listy) To od Klary.
(otwiera inny list i patrzy na
podpis) "Sydonja." Aha,
to pani de Liegeris prosi o
posadę dla swego męża. Wiesz
i ona takie - hm... a ja

miatem jż rawre ra tak
 berinteresowng. Ba... tak
 sama jak wystkie. 'Ko-
 bieta nerwiwa, któraby mnie
 berinteresownie Kochała, jest
 białym konikiem - i rdoje
 się, że takiej w sferze urzę-
 dniczej nigdy nie znajde,
 powinniśmy jej bardzo
 starannie szukać. Ha...
~~trudno... to jwi nie mo-~~
~~ja wina~~ (przeogląda je-
 prce parę listów) O No, skon-
 iuitem nawrocie... (drze li-
 sty i wraca do Kosza) Ah!
 przypomniał się, że mam jwi
 tego słysze! (opostrego pndet-

do, które Liegeris potworzył na
biurku i naciśnięcie guzik od dymon-

ka / Co to ^{znów} może być? / do

Bunela, który wchodzi głośno
z lewej / Czyś to ty potworzył
tę paczkę na mojem biurku?

Bunel.

Nie, panie dyrektorze.

De la Mare.

Którę więc? (rozwinął pakiet)

Bunel.

Ja nie wiem, ja nie wie
widziałem.

De la Mare.

(wyjmuje z pudełka państwo
wang prapierki) / Czy to, cza-
pka? / czyta bilet, który był
przypięty szpilką do czapeczki

"Gdyżonja." Znowu pani
Lieberis. Ale - ona raczyła
być nudną. Bunel.

(przypominając sobie) Ale,
zapomniałem powiedzieć
panu dyrektorowi, że pa-
ni Lieberis była tu dris-
rano. De la Mave.

Tak? Bunel.
Była także kuzynka pana
Chalardon.
De la Mave.

Jeżeli która z tych paní
tu jeszcze przypade, to po-
wiedz, że nie przypinniję.
Bunel (odmawiając)

184.

Czyli to, pan dyrektor nie przy-
muję? De la Mare.

Czy to, nie przymiata mnie?
Bunel.

Ale owszem, panie dyrektorze.
De la Mare.

Nie przyjmuję, ani tych pan,
ani innych, rozmnie?
To się musi przecież raz
skończyć. Bunel.

Ale przecież pan dyrektor
nie jest staby?

De la Mare.

Staby? nie. Tylko czego się
zablić nie swój - ale spa-
tem i z tego powodu jestem
rozstrojony. Pamiętaj więc,

zorientuj te panie jeszcze tu
przysły...

Bunel.

To mam je odprawic'.

De la Mare.

Nieinaczej. (naciska drwo-
nek elektryczny) / Przypros' tu
do mnie pana Lambertina

Bunel.

Natychmiast. (wychodzi na
gwano z bokiu)

De la Mare.

(oglaszając sprawę) / Przysyła
mi haftowaną sprawę -
dlawego lepiej nie słać
się. (prukanie) / Proszę wejść.

Scena 9.

De la Mare. Liegeois. (wchodzi)

z prawej przez drzwi boczne

Liegevis.

Tom dyrektor mnie wzywa?

De la Mare.

Czy to pan potworzył to mied-
ko na mojem biurku?

Liegevis.

Tak jest. Moja siona prosiła
mnie, żebym je pamm dyre-
ktorowi doręczył. eke wiem
nawet, co w sobie zawiera.

De la Mare.

Haftowania prapierze.

Liegevis.

(udając zdziwienie) Czy po-
dobna? Wiem, że moja so-
na bardzo dużo nad nią

pracowała i bytem pewny,
że ją dla mnie przeznaczę-
ta.

De la Mare.

(Elaslimie) To też nie chce
pana obrażować. (podaje
mu czapkę) Proszę, ratuj-
mój ja pan dla siebie.

Liegevis (umieszcany)

Jakto, mam ja wrócić na-
powrót?

De la Mare.

Wraz z pudelkiem. Pro-
wiedź pan Sydonji... (pro-
prawiając się) swojej mat-
ronce, że jej bardzo dzie-
kuje, ale że nie przyjmuje
od niej innych podwładnych

188.

riadnych upominków. Także
jwi jest moja rasada.

Liegevis.

Oke panie dyrektorze,
przedmiot tak mątej war-
tości .. przecież tu chodzi
tylko o dobre specje.

~~(pukanie)~~

De la Mare.

Proszę wejść. Zostaw mi
pan proszę.

(Lambertin wchodzi z prawej
z bokny)

Liegevis. /d.s./

Datem ra nią w Louvre
33 fr. 50 cent. Zavar odnio-
szę ją napowrót. (wychodzi
na prawo z bokny)

Scena 10.De la Mare - LambertinDe la Mare.

Proszę bliżej. Jestem z pana
bardzo niezadowolony.

Lambertin.

Dlaczego?

De la Mare.

Wiem pan przecież, że ryż
sobie, aby moi urzędnicy
nie w biurze nie robili ...
(poprawia się) to jest chcia-
łem powiedzieć ... oprócz
roboty ściśle biurowej, ^{za} pro-
mieniowi wszystkie ich siły
duchowe należą do Kraju.

Lambertin

Sadziłem jednak, że w domu...

190.

De la chaire.

Nous sommes convenus que nous devons
croyances et penser à obéissance
de la robe, dont le cours du
monde, ou de la, dont
se narajutur reka. L'ami
de, osmilites se par tagnat
nebaisme na najcenniejse
skarby naszej literatury -
osmilites se przewabiac na-
szych klasyków, parodjować
nasze arcydzieła.

Lambertin

Co do tego, jestem zimnowrocy
stanowczo protestować.

De la chaire.

Wczoraj wieczór w instytucie
Tompoudour znawca jeden

96 191
z tych drzewolagów rostat
przedstawiony.

Lambertin

Tak jest., Doktorka z musu.

De la Mare.

Sekretarz ministra jest tem
oburzony.

Lambertin

A przecież mimo tego srtu -
ka miała ogromne powo -
dzenie.

De la Mare.

Na afiszu było najwyraźniej
napisane: Komedia w 3.
attach. Motiera i Ferdy -
nanda Lambertin.

Lambertin.

Naturalnie, bo Motiere jest
moim współpracownikiem

192.

Ponieważ pomysł do tej chwili
jest jego, należy mu się ratem,
żeby był na afiszu, a z prawa
stowarzyszenia pomieścić go na
pierwszem miejscu.

De la Mave.

Dziękuję panu za to winie-
nin Moliera. A na przyszłość
proszę, abys pan ramięchał
przedstawiać te niedorze-
czne brudstwa, które łatwo
możesz osmieszyć wrych
urzędników państwowych.

Lambertin

Żalito, czyż pan rozucha-
tać moją listę?

De la Mave.

9/193.

Tak jest, zgrychocę ja - albo
musisz mi pan przyrzec, że się
będziesz wkrzywał pod pseu-
donimem.

Lambertin

(~~prerogatywany~~) Hla... skoro
pan dyrektor komisarz
tego rządu...

Scena II.

Ciri - Bunel wchodzi z lewej
w głębi - ra nim Gentil.

De la Mare (do Bunela)

Czego chcesz?

Bunel.

Pan Gentil znów przyjeżdża.

De la Mare.

Znowu?

Gentil.

Bo muszę komisarzowi panu
dyrektorowi powiedzieć...

194.

De la Mare.

Czy masz pan prośbę na piśmie?

Gentil.

Nie, ale...

De la Mare

To nie.

Gentil.

Tylko parę słów.

De la Mare ~~trzeci~~

Powtarzam panu po raz osta-
tni. Napisz pan w prośbie
o co ci chodzi. (do Brunel)

Brunel, wyprowadź go.

Brunel.

(prowadząc Gentilla ku drzwiom
lewym w głębi) Przez pana
będę miał jeszcze nieprzyje-
mności. (wychodząc)

Scena 12.

De la Mare Lambertin.

De la Mare.

(do publiczności) Grecynie,
ak stonoworo i z pewnem
odzieniem ironii. /do Lambert./

Procurantes' mnie pan?

Lambertin.

Procurantem, panie dyrekto-
re.

De la Mare.

Niee nie mawmy jwi o tem.
~~2 tajemny stonoworo~~
Czy ~~syndyk~~ ~~syndyk~~ jwi gotow?
~~syndyk~~ Lambertin

Brakujze jessere kille wierry.
De la Mare.

Tospiesz sie pan ratem, bo mi-
nister chce go dris jessere
prerogaty. Lambertin

196.

Mam jeszcze coś na sercu.

De la Mare.

Cóż takiego?

Lambertini

O ile wiem, pan Lardillac prze-
mawiał za mnie w kwestji
podprefektury.

De la Mare.

Istotnie. Lambertini

Byłbym niemiernie obawia-
jący, gdyby pan dyrektor
nie przywiązywał większej
wagi do tej protekcji, o której
pewnie wcale nie prositem.

De la Mare. (odrzucony)

Jakto, więc ta nominacja by-
łaby panu nieprzyjemna?

Lambertini

Byłbym dumnym i srogim,
gdyby mnie pan dyrektor uznał
godnym takiego odznaczenia;
ale droga protekcji, niczego
zdobywać nie chce.

De la Mave.

Bardzo dobrze, bardzo dobrze,
siadać panie Lambertin.
Otoż nie dam panu tej po-
dy, bo uwariam, że nie po-
trafiłbys sobie z nią pora-
dzić. Bardzo dobrze... Czy
pan jesteś żonaty?

Lambertin (niechętnie)

Tak, od roku.

De la Mave.

Od roku? A ratem młody
matrimon.

LambertinIstotnie. De la Mare.Jeszcze w mioslowych wiecia-
cach?LambertinTak. De la Mare.Dlaczego ja dotąd nie
znam pani Lambertin?LambertinMoja siostra bardzo mało
wychodzi?De la Mare.Powinnesz pan być już przed-
stawić mi ją.Lambertin

Nie pomyślałem o tem.

De la Mare.Szkoda. Lambertin

Czas pański jest tak drogi,
że nie osmieliłbym się zabrać
z niego ani minuty. A przy-
tem biuro, nie jest miejscem
stosownem dla mojej rany -
mogłaby tu chyba tylko
przyjść jako sylikantka,
a na to znowu, ja bym nie
gwarantował.

De la Mare.

Masz pan słuszość.
Lambertin (d.s.)

Teraz już wie przynajmniej,
czego się ma re mna trzymać.

De la Mare.

No, idź już, Kochany przyja-
cielu i przynieś mi jak naj-
wędzej ten ^{tajna instytucja o której} cyrkularz.
Lambertin

Lambertin

Czy ogłasimy go w piśmiech?

De la Mare.

Naturalnie, jak Karol ^{tytuł} ~~de~~
^{instytucyjny} ~~instytucyjny~~ tego rodzaju.

(Lambertin wychodzi na prawo)

Scena 13.

De la Mare (sam, po-

radkuje papiery)

Nawet nie znalazł się istotnie
 niczego nowego. Nie jest on
 wprowadzie otem ^{ale re} ~~i~~ nie robi
 zbyt przyjemnego wrażenia,
 ale za to nowego. Powiedział
 mi najwyraźniej, że mi sam
 swojej nie przedstawi. To mi
 się właśnie podobna. Prawo-

podobnie ta jego rana, to ja-
kieś straszno, niegrubne,
chude i z czerwonymi żył-
kami. albo też może niepo-
spolita piękność... Kto wie!

Zresztą mniejsza o to, ja żywi
zawyham moje rachunki
wyjmuje z kieszeni etui z przy-
bawki toaletowni - przeglądam
się w małym lusterku, grzebytkiem
gładzi włosy i perfumuje się roz-
pylaczem - podczas tego mówię

Chcę i nasze stawieć opór
wreckim pokusom. Ba...
ale czy będę mógł im się
oprzeć? Hier to żywi rary po-
stawowitem być innym i

niewiernym, ^a jednak zawsze
 ulegatem; - gdy przy mojem
 biurku ujrzałem wczora, po-
 wabną Kobietkę, która sličnie
 oczęta błagalnie na mnie
 wrzosiła - oho, wówczas było
 już po mnie i wszystkie nie-
 kne postanowienia jak mogła
 się rozpraszaty. "A może to
 ta, której szukałem" - myśla-
 łem sobie - "może ta, o której
 od dawna marzę, że mnie
 porzuci i prawdziwie po-
 kocha." Stałem, młota
 tęsknota ogarniała mnie...
 i zasmuta naczęta swo-
 wym tonem: "Wśródnie,

nie można samowolnie, dla
osobistych względów rorda-
wać posad" - Konieczyła się
zmyślnie słowami: "Zrobię
wszystko, co chcesz, droga
gotabko." - Ale teraz przy-
siągnę sobie uroczyscie - i
byłbym twórcą, najędr-
niejszym twórcą, gdybym
nie potrafił stawiać oporu.

Scena 14.

De la Mare - Bunel.

Bunel (wchodzi z le-

wej w głębi z Kartą wrytą
w reku) Jakas' pani przy-

szła. De la Mare.

Nie przyjmij. Bunel.

Kiedy ona mówi, że Kamień
musi się widzieć z panem
dyrektorem.

De la Mare.

To niemożliwe.

Bunel.

Ona tu jeszcze nigdy nie była.

De la Mare.

(wahając się) Tak? (stannowczo)

Ofie - nie może jej przyjąć.

(Bunel odchodzi) Czekaj...

A w jakim wieku mniej
wiecej jest ta pani?

Bunel.

Może być śmiało moja
matka. De la Mare.

A - to co innego - wprowadzi ją.

Bunel (zdumiony)

Ma co najmniej z 50. lat.
 (podaje mi kartę)
De la Mave.

Właśnie dla tego ja przyjmę.
Bunel (n.s.)

Czyby się tak nagle poprawił?
 (wychodzi)

De la Mave.

(wryta karta), Pani Mariolle".
 Nie mam jej. Łdaje mi się,
 że wryta tej szanownej ma-
 trony, nie narazi mnie na po-
 kuse.

Scena 15.

De la Mave - Pani Mariolle.
 (wchodzi głośno z lewej)

P. Mariolle (n.s.)

Jestem nareszcie w jasności
 tego świata.

De la Mare. (przyglądając
się P. Mariolle - d.s.) Jestem
 spokojny, zupełnie spokojny.
P. Mariolle.

Czy mam rozrzuć mówić
 z samym panem dyrektorem?

De la Mare.
 Tak jest, proszę, niech pani
 siada. P. Mariolle. (n.s.)

Ten potwór, nie jest równo-
 tarli strasny.

De la Mare. (n.s.)
 Ładuje mi się, że ja kiedyś
 jwi widziałem.

P. Mariolle.

Jestem tesciową pana Ferdy-
 nanda Lambertin.

104 207

De la chape.

Jesiowa? Przycho dnie pami
pewnie skarzyć się na niecia.

P. Mariotte.

Przeciwnie. Przygotow prosić
o względy pańskie dla niego.

~~Jesiowa~~ De la Mare.

To mnie istotnie radziwia.

P. Mariotte.

To długiem wahaniem zdecyd-
dowatam się narzecz na ten
krok, bo mówiono, że pan
jestes bardzo niecierpliwym.

De la Mare.

Ja? (no!) ~~Niec już wre-
dnie o tem mówią?~~

P. Mariotte.

Spowiem panu otwarcie, że
miałam niemato strachu,

rami ten próg przestąpiłam.

De la Mare.

O... możesz pami być rzyt-
nie spokojna.

J. Mariolle.

Zawsze to robi wrażenie, gdy
się pomysli: „Oto jest człowiek,
który może dać wszystko, ale
kawarem i wszytkiego rządzić.

De la Mare. /ns./

Wystawię się teraz na próbę.
Wyobraź sobie, że ta stara
jest piękna i ma 20 lat. /gd/
Wiesz coś stąd?

J. Mariolle.

No, to zdaje mi się, że nawet
najodwarniejsza mimowolnie
musi radzić.

De la Mare. (d.s.)

Wyobraż sobie, że ma najpiękniejszą w świecie włosy, ogromne oczy, rzeźbioną nos, białe zębki i różowe usta.

P. Mariolle (d.s.)

Jak on się na mnie dziwnie patrzy. Co jemu jest?

De la Mare (d.s.)

Jeszcze tych wszystkich wdrętek jestem spokojny, obojętny... bravo! to się u mnie nazywa mieć siłę wole! (gł.) Proszę, niech pami dalej! P. Mariolle.

Otoż Ferdynand wcale nie przesunął się na przód. Przy-

De la Mare (d.s.)

prtam więc prosić pana dyre-
ktora... De la Mare.

Daremnie, takowa panie,
u mnie nie ma żadnych pro-
tekcji!... Żadnych faworów!
P. Mariolle.

Powiedziiano mi jednak...
De la Mare.

To pani rle powiedziiano.
Uznaję dobre chęci pani,
ale to się panu Lambertin
na nie nie przyda. Czy pani
mie ma mi już nie więcej
do powiedzenia? (wstaje)
P. Mariolle. (wstaje)

Niechże mi pan dyrektor
przynajmniej nie odbiera

ostotniej nadbrzei. Pan przecie
jestes takli dobry, czuty, wspa-
niatomyślny. To wszystko naj-
wyraźniej jest napisane na
paniskiej rece

BIBLIOTEKA TEATRALNA
Własność Gminy m. Lwowa.

De la main

(odrzucony) Jaki, na mojej
rece? P. Mariotte.

Tornaje to po paniskich stru-
gach, rąbaniu rakonieronych
palcach. Tornął pan na
chwile. (bierze jego rece i
wpatruje się w nią et co,
miotam straszność... linja
serca jest niewytkle raryso-
wana. Serce panuje nad
panem. (pyta z reki) Lasta-
wość i wspomiatomyślność -

bardzo wiele wspomnień.
De la Mare.

To byś morze.

P. Mariolle.

(wytwarzając dalej ~ refki) Ale
 jesteś pan Kochliwy, strasnie
 Kochliwy. Dowodni tego ten
 pałacik Wewerzy, który tu
 gwie niepostrzeżenie.
De la Mare.

O tem nie wiem.

P. Mariolle.

Jestes pan piękna, bogata
 natura.

De la Mare.

(przypominając sobie) Czekaj
 pani... teraz przypominam
 sobie nareszcie! Powiedz pa-
 nią. Pani jesteś... jesteś...

Kabalartha z ulicy londyńskiej:
P. Mariolle (umieszczonej)

Ależ nie... zapewniłam pana.
De la More.

Tak, nierówności. Precyzyjnie
 przed trzema laty, byłem u
 pani z matką Armstrong
 z Konserwatorium.

P. Mariolle.

Teraz i ja sobie przypominam.
Scena 16.

⊕ Ciri - Lardillac (wcho-
 dzi z prawej, w głębi z papie-
rem w rekr, który oddaje Dy-
rektorowi /

P. Mariolle.

Ah, pan Lardillac!
Lardillac.

Pani Mariolle! Jakże się pani ma?

2/4.

P. Mariolle.

Dobre, dziękuję panu.

Lardillac.

A cóżka pani?

P. Mariolle.

Także dobre.

Lardillac (półgłosem)

Odwiedzę pania. Niewiem
już z czym o Lambertine.

P. Mariolle.

Doprawdy?

De la Mare.

(oddaje napowrót papier Lar-
dillacowi) Zapewnie dobre,
tylko niezapomnij o pewnych
odcieniach w kolorowaniu.

Do rady municypalnej napisz:
„Zapewnienie mego wysokiego

szacunku " — do senatu: „Mego
najgłębszego szacunku,“ a do
deputowanych: „Mego najwyż-
szego poważania.

Lardillac.

Znam przecież te formułki.

De la Mare.

Zdaje się, że i panig Mariolle
masz także? Lardillac.

Tak jest; wczoraj miałem
przyjemność być jej przed-
stawionym, (prógłosem również
jak jej pięknej córce, pani
Lambertin.

De la Mare.

(prógłosem E... depandy?
Lardillac.

Zachwycająca kobieta!

De la Mare.

Czy do tego stopnia jak mama?

Lardillae.

Zdaje się, że wujaszek tak
ją porwa.

De la Mare.

Czy ma tu przyjść?

Lardillae.

Tak, prosić o spotkanie dla
męża.

De la Mare.

Będzie niewzruszony.

Lardillae. (no.)

Ktoby w to uwierzył.

(wycisnieni głębia na prawo)

Ekana 17.

De la Mare - P. Mariolle.

De la Mare.

Pani ratem ma corkę?

P. Mariolle.

Dwie, panie dyrektorze. Jedyn młodszy, wydawała za mąż, wycofałam się z interesu.

De la Mare.

Skłoda, bo pani byłaś mistrzynią w swoim zawodzie.

P. Mariolle.

Tak, ale mój ręk nie chciał, żebyśmy dalej wróżyła.

De la Mare.

Wszystkie moje znajome rachowały się panią. Dlatego też nie opierałam się wcale, gdy królowa mandina rządziła, żebyśmy jej do pani towarzyszył.

P. Mariolle.

Poczuwa Armondina, ona była
moją najlepszą Klientką. Skoro
tylko poznata jakiego nowego
przyjaciela, zaraz go do mnie
przyprowadzała.

De la Mare.

To musiała do pani bardzo
często przychodzić.

J. Marville.

Oh, to były piękne czasy!
Ale ponieważ jesteś starym
znajomym, więc spodziewam
się, że pan dyrektor nie od-
ruci mojej prośby i pomoże
memu nieciowi.

De la Mare.

Ależ nie pani nie ma naj-

mniejszej kwalifikacji do tej
posady. P. Mariolle.

Panie dyrektorze, przez mi-
łość dla Armandiny!
De la Morte.

(powracanie) Czerwien, który
tu stoi przed panią, nie zna
riadnej Armandiny - to spra-
wiedliwy i bezstronny urzę-
dnik, który gwarantuje pani...

x (przekanie) Proszę wejść! - Pow-
tarza: że to jest niemożli-
we, stonowczo niemożliwe.

Scena 18.

Ciri - Lambertin.

o

Lambertin (wychodzi

z prawej z bokiem, z papierem

^{tajna instrukcja}
 w rekr.) Oto jest sygnatura,
 panie dyrektorze.

L. Mariotte (n.s.)
 Masz tobie, mój rzeź.

De la Mare.

(biorąc papier) Zostani pan.

Lambertin

(oburzony, spostrzegawszy p. Mariotte)

Moja tesciowa! Pani, pani
 tu?

De la Mare.

Pani Mariotte prosiła pro-
 sie o protekcję dla pana.

Lambertin

O protekcję dla mnie?

De la Mare.

(do p. Mariotte) Posade dris'
 jeowce otrzymu ten, komu
 jest przymacron. Zatrzyje

bardzo, że dla tak wyjątko-
wej teściowej jak pani, nie
uczynić nie mogę. Przepra-
szam, ale minister na mnie
czeka. (do Lambertina) Od-
prowadź pan teściową.
(wychodzi na lewo w głębi)

Scena 19.

Lambertin - P. Mariolle - po-
tem Bouquet.

Lambertin
Powarzyłaś się pani jednak?
P. Mariolle.

A tak, ponieważ pan nie
pozwoliłes, żeby ^{Berta} Gabryela.

Lambertin
Ale skąd pani przypa-
dołało?

na myśl udawac' się do pana
de la Mare, szlowski, który
tylko młode i ładne kobiety
chętnie przyjmuje. Czy pani
zwiektas' się, żeby mnie na
posiniawisko wystawić?

P. Mariolle.

Ależ Ferdynandzie!

Lambertin.

Trafia się teraz doskonała
gratka dla szosliwych je-
ryków moich kolegów. Będą
mogli mówić bezkarnie:
„Patrzcie, Lambertin, ten re-
forny szlowski, nie posyła
wprawdzie swojej żony - o
nie... ale na to, posyła swo-

ja tesciową. "

Bonquet.

(wchodzi z lewej z bokiem i kła-
dzie akta na biurko)

Lambertin, na Bogo się tak
intrygujesz? Ah, pami Ma-
riolle.

Lambertin

A tak, pami Mariolle, ra-
statem ja tutaj, jak się przed
dyrektorem na Kolanach pro-
gata.

J. Chariolle.

Kto się progał? Ja się nie
progałam, mój panie i pro-
gac nie będę. Pan de la Ma-
rie rachował się przyawoi-
cie i prawdziwie po ryce-
rku. Nie pozwolit sobie nie.

nawet najbliższego partu.

Lambertin

No, co do tego, to można wie-
rzyć pani na słowo. Ale
teraz, wracaj pani natych-
miast do domu. Gdy dy-
rektor przyjdzie, nie powi-
nien pani już rastać.

P. Mariolle.

Dobrze, dobrze, już idę.

(idzie ku drzwiom lewym

w głębi)

Lambertin

Chce tedy. Po co wysy-
mają wiedzieć, że pani wy-
chodzi od dyrektora...

Bouquet.

Wyprowadzę panie, bochenem
schodami. Lambertin

Doskonała myśl.

Bouquet.

Proszę panie, tedy. (wskazuje
drzwi bochen na lewo)

Lambertin

Stuchaj, Bouquet, czy mo-
gę ja kłócić na twoją dy-
skrecję? Bouquet.

Ależ nierawośnie, mój dro-
gi. (wychodzi z p. Naviolle
drzwiami bochenem na lewo)

Lambertin

Jeszcze dziś wieczór całe
piętro dowie się o tem. Wszyscy

Koledy będą się śmiać po ra-
mami plecami i bawix' moim
roztem.

Scena 20.

Lambertin - Bunel - później
Luzanna.

Bunel.

(otwiera drzwi lewe w głębi
i pierwsze słowa mówi do
osoby będącej za drzwiami)

Proszę, niech pani wejdzie.

(spostroga Lambertina) Nie,

nie, proszę się chwile ratry-
mac. (przedko ramyka drzwi-
d. s. 1)

A to byłbym dopiero
głupstwo patnać.

Lambertin

Czego chcesz Bunel?

Bunel.

skie ... tyllko, tam jest dam-
ska winyta do pana dyrektora.

Lambertin

Ynown?

Bunel.

Proszę, niech pan stąd wyj-
dzie, bo jakby się pan dyre-
ktor dowiedział, że pan
widział tę panią, gniewał
by się na mnie.

Lambertin

Nie jestem ciekawy -
możesz bezpiecznie wyprowa-
dzić tę panią. Biedna Ko-
bieta!

z bokku/

Bunel.

nie przesadza biedactwem,
 że to jego własna żona. Wła-
 ściwie powinienem mu być
 gowiedziem, to byłoby naci-
 wie, ale cóż, kiedy ona dała
 mi pięć fr. żeby mi milerał.
 (otwiera lewe drzwi w głąb)

Proszę - niech pani wejdzie.
 / Zuzanna wchodzi - n. 2. /

Bardzo ładna. (gł.) Tam
 dyrektor natychmiast przyj-
 dzie. Zuzanna.

Przełup panu. (na na
 sofie) Bunel. / n. 3. /

Doprawdy, bardzo ładna.
 (odwraca pierwsze repliki)

twara do ściany i wychodzi
głębia na lewo

Zwanna.

To co robię jest bardzo ryzy-
kowne, ale trudno, gdy cho-
dzi o przyszłość swą, a
trzeba przecie coś ryzy-
kować. Dyrektor lubi go-
rnować iony swoich urę-
dników, skorzystajmy więc
z tej jego słabości. A teraz
odwrocim się przedewszyst-
kiem nie tracimy głowy. Jak-
kolwiek może być sobie nie-
bezpiecznym ten pomysł de la
Mare, mnie przecie nie pre-
strasza. (ogląda się wokoło)

Muszę wyznać, że jaskinia
tego Minotaurusa nie ma
w sobie nic nadzwyczaj-
nego - wóchny taki sam jak
stażem podobnych - foteli,
księgi, akta... (spostreżę,
że siedzi na sofie) Hełm! ³¹⁷

wstaje i siada na fotelu
(Prawdopodobnie musi to
być maty, rasusowy biuro
krata, z ceremonjalem
obejściem a świdrującymi
oczami...)

Scena 2.

Zuranna - Delta Mawe
wchodzi z lewej głębi, z pa-
gierami w ręku / za nim Bunel

trzymając kartę winytana)

Bunel.

Proszę pana dyrektora, muie
się zdawało, że dobrze ro-
bit.

Luzanna (n.s.)

To on. (wstaje)

De la Mare.

Właśnie, że się robił. / Wła-
nia się wstymu Dzień dobry
pani.

Luzanna (n.s.)

Bardzo przyjemny króciok.

De la Mare.

(do Bunela) Wiesz o tem do-
bre, że gdy muie nie ma,
nie powinienes tu nikogo
wprowadzać, absolutnie ni-
kogo.

Bunel.

Właśnie mówilem to pani, ale..
 (podaje dyrektorowi kartę wi-
rytowaną)

Zuzanna.

To tylko moja wina, bo nie
 chciałam czekać w przedpo-³²

koju.

De la Mave.

(czyta kartę) Pani Lamber-
 tin. " (ustr.) To ta, która się
 Lordillac. tak rachwycob.

Zuzanna.

Obawiałam się, żeby Lamber-
 tin, który nie wie o mojej³³
 winy - nie robił mi.
 To też prowdę mówiąc, gwał-
 tem tu wrzadam.

De la Mave (ustr.)

Postanowitem sobie nie przyjać
jej.

Zuzanna (ratownic)

Tam Dyrektor powinienby
mnie ra to wytażac'.

34

De la Mare.

(wskazując się) Proszę, niech
pani siada. - Bunel.

Bunel.

Stucham pana dyrektora.

De la Mare (cichy)

Za pięć minut - uwaroż do-
bre - za pięć minut wej-
dziesz tu, nie pukając wcale.

Bunel (cichy)

Jakto bez pukania? Dobrze,
panie dyrektore.

De la Mare.

Powiesz, że minister chce na-
tychmiast ze mną mówić.

Bunel.

Bardzo dobrze, pan dyrektor
ma słusność - strzeżonego

Pan Bóg strzeż! (u.s.)
eńie dowierzać sobie.

De la Mare. (d.s.)

Teraz już mi mam się czego
obawiać. (siada przy biur-

ku z uroczystą miną)

(Bunel odwraca replikę
twarz do publiczności i wy-
chodzi głębia na lewo)

Scena 22..

De la Mare - Zuzanna.

De la Mare.

118 235.

Prepravam, ie w pami ob-
ciosci robitem wyruty me-
nu moriemu; lecz nie wie-
dziatem, ie tu o panig chodri.

Lurama.

35 Jestem o tem przekonany.

De la Mare.

Musiatem nu to powiedziec,
bo gdyby tu Karidy wchodrit
sobie bez ceremonji, to wrescie
statoby sz to niemożliwem
do riniwienia.

Lurama.

Pojmyj. De la Mare.

(wstawiając papiery leżące na
biurku) Widri pami, jak to
nawet roboty mnie reka.

Widri pami! Jestem po uszy zapracowany.

Wśród wielu rzeczy blakłych i
nie nie maczających, znajduję
się sprawy wielkiej doniosłości -
tajemnice stam.

Luranna. (wydero-)
Tajemnice stam?

De la Mare.

cierniowiec wałne.

Luranna.
(wskazując dziennik ilustrowany
Py i to "La vie parisienne"
toż Życie paryskie"
tamże należy do tajemnic
stam? De la Mare.

(całobarażowany) Ah, cóż
pewno! Hm... nie wiem,
słownieśdy szkod się ono tu
wzięło. (odrzuca dziennik
na bok)

Zuzanna (no.)

Przedewszystkiem muszę się prze-
konac, czy mi się podobą -
Tam. (gł.) Teraz jwi mi siem
wyjawić celu mojej wizyty,
bo z przykrością widzę, że
rabinowi zbyt drogi czas
ponikli. To też zdecydowanie prze-
warcam na moją natrętność
i regram pana dyrektora.

(wstaje)

De la Mare.

Hej pan!... Zuzanna.

Widzę, że pan dyrektor jest
tak zajęty, że...
De la Mare.

Widzę, że pan dyrektor jest
tak zajęty, że...

De la Mare.

Ależ proszę, niechcie pani...

Luranna.

Że nie mógłby mi nie wystu- 41
chać...

De la Mare.

ożh, parę minut mniej lub
więcej.

Luranna.

Tak... ale w ciągu paru mi-
nut, ~~nie będę w stanie nale-~~ 42
~~żyć się przedstawić mojej prośbie.~~

De la Mare.

Proszę, niechcie pani siada.

Luranna.

(siadając) Istotnie, pan jesteś 43
dla mnie zbyt taktowny. (uśm)
Zdaje się, że mi przypastam
do gustu. De la Mare (uśm)

120 239.

Zachwycająca! prosto cza-
rująca! Luzanna.

Otoż przytłam prosić o wzglę-
dy pańskie dla Lambertina.
De la Mare.

Merza pani? Luzanna.

45. O! on nie powinien wiedzieć,
że tu byłam i mam nadwie-
żę, że pan mnie nie odra-
dzi.

De la Mare.

~~Możesz pani być pewna. (ma-
craco)~~ Ja nim być dy-
skretnym... bardzo dyskre-
tnym.

Luzanna (n.s.)

46. Oho! jwi racyna, (gł.) Je-
stem pewna, że Ferdynand

bez pomocy nigdy nie ostrygna
stanowiska, które mu się stu-
szenie należy. Bo jest niesmia-
ły, skromny, a przytem bar-
dzo dumny. Ludzie jego po-
kroju z trudem się posuwa-
ją się na przód i trzeba ich
kanielnie co chwila popychać.
Zresztą ma dużo rąk.

De la Mare.

Doprawdy? czy nie mogła-
by mi ich pani wymienić.

Luranna.

Fakto, nie rinvocites pan
na nie uwagi?

De la Mare.

Wyznam pani otwarcie, że
dotąd nie.

129 241.

Luzanna.

8.8 (śmiejąc się) Ale jest on
wprawdzie świecznikiem, któ-
ry się stawia na wielkim
stanie ...

De la Mare.

(śmiejąc się) O co to, to nie.

Luzanna.

49 Ale to jeszcze pytanie, czy
taki świecznik... byłby dla
pana dogodny ...

De la Mare.

Isotnie, nie wiem, co bym
nim mógł oświetlić.

Luzanna.

50 Wkradym razie, Lambertin
taki, jakim jest, bezwarunko-
wo następuje na owans.
To też proszę, aby pan dyrektor

nie odnawiać mu swej pro-
tekcji. De la Mare.

Niedawno, na tym samym
potem siedział ktoś inny
i także w bardzo wyuo-
wnych słowach przedstawiał
mi tę sprawę.

Zwanna.

Jakto? więc już ktoś inny. 57

De la Mare.

Proszę o protekcję dla mego
pawu - tak jest.

Zwanna.

Stę któryby mógł? 52

De la Mare.

Jego tesciowa.

Zwanna.

Mama? Nie, to już służył 53.

Romiznu. Wiesz pokazuje się,
 że obie miałyśmy tę samą
 myśl. De la Mare.

Odpowiedziałam jej to, co i
 pani z przykrością muszę
 powiedzieć: że dla Lambertina
 nic zrobić nie mogę.

Luzanna (należnie)

Czy to na serio?

De la Mare.

~~Mówię~~

~~Luzetnie na serio. (n.s.) O...~~

~~to trudniej idzie, niż myśla-~~
~~tem. (gł.)~~ Pomtarcam, ^{Sam} że dla

~~Lambertina nic zrobić nie~~
~~mogę.~~ Luzanna (j.w.)

~~Wskazowano, nie wierzę w to.~~
De la Mare.

Cie wierzy mi pani?
Zuzanna.

Cie. Matce... biednej, sta-
 rej matce, wogtę pan od-
 mówić... ale ranie... ranece,
 która się prosi o rtorionem
 refammi...
De la Mare /rs/

Poi to ra oczy! Sopristi!
 (gł.) Cie widzę raduej wómi-
 cy...
Zuzanna

Eh!
De la Mare.

... miedzy tesciową, a rane,
 Lambertina.
Zuzanna.

(opowiadając wstydliwie oczy)

Mnie się jednak zdaje, że jest
mała rolnica.

De la Mare.

(minimolnie myśla wesoły

ten) Tak pani sądzi?

Zwanna.

To zupełnie coś innego.

De la Mare.

Pod jakim względem?

Zwanna.

(spogląda na niego, potem
nowym spuszczając oczy)

De la Mare.

Przepraszam panią, ale po-
trebuje coś więcej ręką.

(wstaje i przechadza się po
scenie.)

246.

Zuranna (n.s.)

Nie! on jest wyborny.

55

De la Mare (n.s.)

Wystawię się równo na próbę.
Wyobraź sobie, że ona ma
z górą 50. lat i jest szpetna
jak grzech siwertelny.

Scena 23.

~~Ø~~

Ciri - Bunel (wchodzą)

z lewej w głębi!

Bunel.

Pan minister prosi do siebie
pana dyrektora.

Zuranna (n.s.)

57

Klasie teraz!

De la Mare (rty)

Powiedz, że mnie nie ma.

Bunel.

Ależ kiedy pan minister..

De la Mare.

Wcale mnie nie obchodzi.

Bunel.

Jednie o rzecz wielkiej wagi.

De la Mare.

(coraz więcej rozdźwięki)

Wynos się.

Bunel. (u.s.)

~~Dat jwi na wygrane.~~ (gt.)

Bo pan dyrektor może mnie
się rozmawiać, ale pan mi-
nister ryczy sobie...

De la Mare.

To ty mnie nie rozmawiasz.

Stygniesz? wynos' mi się na-
tychmiast.

Bunel.

Podług rozbaw, panie dyre-
ktorze / (no) / Widzę, że równo
wszystko przepadło. Biedny
Lambertin / (odwraca biał.
republiki równo twarz do
ściany i myśli w głębi na lewo
w głębi)

Scena 24.

De la Mare - Zuzanna.

(Zuzanna przystuchiwata się
z uśmiechem rozmowie Bunela
z dyrektorem i następnie
spogląda na niego z pod okna)

De la Mare.

A to dopiero ciot!

Zuzanna

61

Skoro jednak pan minister.
De la Mare.

Sth! wiem o co chodzi.
Luzanna.

62

Byłabym niepokierona, gdy-
by z mego powodu...
(chce wstać)

De la Mare.

(wstrzymuje ją) Stłżi ra-
miam pania, że wiem o co
chodzi. Ale wainego, pro-
szę mi wierzyć. Zresztą mi-
nister może poczekać. Ale,
o czemu to mówisz?

Luzanna.

63

O podprefekturze dla Ferdy-
nanda. De la Mare.

A prawda. Otóż niemi-

nie róluję, ale ja nie w tej
sprawie robić nie mogę. To
jest absolutnie niemożliwe.

Lurama.

A przecież to tylko od pana
rolerij. De la Mare.

Być może, ale ja jestem
wrogiem wszelkich faworów.
I wierzę mi pani, gdyby
o co innego chodziło...
Na miłość Boską, nie potrze
pani tak na mnie! — Gdyby
o co innego chodziło, to
byłbym najprześliczniejszym,
gdybym mógł jej być wy
tecrzym. Lurama.

64. Odmawiase pan ratem pierw-
szej mojej prośbie. A przecie
to rzecz tak mała, tak łatwa
do wykonania. O, pan nieta-
łkow dla mnie.

De la Mare.

Trzebaż panu, ale...

Zuzanna.

65. Bo co panu właściwie na
tem zależy, czy ten, lub ów
dostanie tę posadę? A mnie
prześlimiłoby to niewy-
mownie.

De la Mare.

Nie mówię przecie...

Zuzanna.

66. Mnie tak boli ta odmowa
i nie wiem jak ja przenieść

radotam. Widzę, że pan nie
masz dla mnie ani odno- ⁶²
biny sympatji.

De la Mare.

O nie wierz, nie wierz pani
tenm.

Luranna

Miałam nadzieję, że pana
przekonam, że moje proste,
proste słowa wruszą pani- ⁶²
skie serce - lecz amylitum się.

De la Mare.

Wie, nie (^{zawroty} amylitas) się pani.

Luranna.

Zmartwiłeś mnie pan bardzo ⁶²

De la Mare.

Wierzę mi pani, że Lamber-
tin nie ma odpowiednich

zdolności do rajęcia tej po-
sady. Luranna.

70. Dlatego też tu przysortowa.
De la Mare.

71. Fakto? Luranna.

Bo gdyby miał odpowiednie
zdolności, to by nie potrzebo-
wał protekcji.

De la Mare.

Masz panu szusować.

Luranna.

72. Ale chociaż Lambertin nie
ma wybitnych zalet, ra-
to też nie ma i wybitnych
wad. De la Mare.

73. Długo wstanie odkrytem w nim
już i to bardzo przydatne.

Luranna.Jakoż to De la Mare.

To hypokryta!

Luranna

Hypokryta?

73De la Mare.

Naturalnie, bo nie powinien
wtrącać takiej rony jak pani.
Takiej rożnnej, ślicznej, radosny-
czajacej i ciekawej. (Luranna
wstaje Jakoż, pani już chce
odejść? Luranna.

Nie mogę przecież pozwolić
zartować z siebie.

74De la Mare.

(Wstrzymując się Jakoż pani
może przypuszczać coś podob-

brege. Mówię tylko to, co suję.
 Powtarzam, że pani jesteś
 godną uwielbienia.
Luranna.

A mimo tego odrucasz pan
 moją prośbę.

De la Chave.

To przecież nie powinno być
 przeszkoda, do przyjemnej
 pogadanki.

Luranna.

Preparasam, to jest wielka
 przeszkoda.

De la Chave.

Nie powinnaś mnie pani
 opuszczać razguiewana. Przy-
 wełknij mi pani przynaj-
 mniej, że wrócisz tu jeszcze.

Luzanna.

Po co?

De la Mare.

12

Pomówiemy jeszcze o Lambertinie. Będziemy się starali oddać w nim ralety potrzebne do awansu. A gdy będziemy usilnie gorliwie szukać... to być może uda nam się nawrócić...

Luzanna.

Jżeli bym miała tu jeszcze przysię, to muszę mieć jakiś pretekst. Dział przysięgam tu dla posady, ale na przysiębie.

De la Mare.

Także dla tej posady. Czy byś
 Tak byś gani bardzo radośno -

long, gdyby on ją strzymał?

Luzanna.

„Spodbiewam się.

De la Mare.

Wprawdzie nic nie przynie-
kam, do niczego się nie ro-
bowiauję... przypuszczam
tylko możliwość... (biewre ja
ra vere) A więc byłabyś ja-
ni istotnie radomolona?
Chciałabyś rostać podpre-
fektową? (patrzy jej prosto
w oczy)

Luzanna.

72 To jest mojem marzeniem.

De la Mare.

Oj kusicielko! kusicielko!

Luzanna.

Staralabym się rozstrzepać
wśród ludności przywiązanie ⁸⁰
do radu.

De la Mare.

Jestes' pami na to dosyc' pie-
kno, żeby w całym departa-
mencie porawracać wryst-
kie głowy. Zranna.

Wrystkier? O, to trochę ra- ⁸¹
wiele.

De la Mare.

(chce ją objąć) Jestes' pami
rachwycająca! craniąca.
Zranna.

(przestaje się nimiechać - po-
warinie) Janie dyrektorze,
biedny rozsadni. ⁸²

De la Mare (deklamując)

A gdybyśmy wyrwał, że cięcie ko-
 oh ty, karnowska z hebanowym wotem, cham,
 oh ~~z~~ jasnowłosa, z błękitnem okiem.

(Zwanna cofając się przed
 nim, siada mimowolnie na
 brzegu biurka, gdzie są umie-
 szczone drwonki elektryczne -
 słychać gwałtowne drwonienie,
 na scenę. Cworo drzwi otwie-
 ra się równocześnie - w głą-
 bi z lewej wchodzi się Bunel,
 z prawej Lardillone - z boków
 z prawej Liegevis, z lewej
Chalardon.)

Scena 25.

De la Mare - Zwanna - Bunel -
 Liegevis - Chalardon - Lardillone

260.

Bunel - Liegeois - Chataudon.

(wówczas) Pannie dyrektorze!

Lardillac.

Wizjardlu!

Luranna.

(przestraszona n.) A tam
się dopiero urządziła.

83

De la Mare.

Co to ma być? czego panowie
tu chcecie?

Bunel.

Przecież pan dyrektor dworzył.

De la Mare.

Skier nie. Chataudon.

Teraz jeszcze słysząc dworzenie.

De la Mare.

Któż to się osunęła tak
katastrować?

Bunel.

(wskazywa Luranna) To pamię-
dri na drzewkach.

Luranna.

84

nie wiedziałam o tem. ~~II~~

(wstaje - drzewki richna)

De la Mare.

Proszę, wróćcie parowie do
siebie, nie przeszkadzajcie mi,
bo jestem bardzo zajęty.

Chalardou (ns.)

Ładnie zajęcie! (wychodzi)

Lardillac (ns.)

"Kogucik" nie lubi, żeby mu
przeszkadzać! (wychodzi)

De la Mare.

W tej chwili spokój.

Bunel (ns.)

Biedny Lambertin. (wychodzi)

De la Mare.

Ciągle przeszkadzą.

Legeris. / no. /

Kto to może być?

(wychodzą tenni drzewami,
które w ogóle)

Okna 26.

De la Mare - Lurama.

Lurama.

Uwieram że strachu.

De la Mare.

Uspokój się pani. Któż tu
już więcej nie przyjdzie. Ale
na cmentarz to staneli?

Lurama.

Że Lambertin dostanie pod - 86
prefekturę.

De la Mowc.

Aja?

Lurana.

Is it, I am?

De la Mave.

No tak ... Gdy Lambertin
dostanie podprepekturę, czy
ja za to dostanę?
Zuzanna (z Kokieter)

Zuranna (r. Kokieterja)

Przybył pan iadał czego
odemnie? De la Mère

De la Morte.

Podarunek, za podarunek.

Lucanna.

Kiedy nie wiem, co jest wła-
ściwym w takim razie...

De la mare.

Porównanie się do wobierczo-
ści. Lucerna.

Lucyanna.

Даровы?

De la Mare.

Skierowanie.

Zuranna.

A więc, najpierw nominacja,
a później wdzięczność. 89

De la Mare.

Później? to się sprzeciwia
wzrostom tradycjom.

Zuranna.

Ha... to nie mój wyrost
① tej sprawie.

De la Mare.

Jakto? nie ufaj mi pani?

Zuranna.

Pan takie nie - o ile mi
się zdaje. De la Mare. 91

A więc, dam pani najwy-

wistoty dowód mego ranfa-
nia. Za gościnę, minister
podpisze nominację Lamber-
tina.

Zwracania.

„Niczego pan na to ode-
mnie nie radasz?”

De la Marche.

Teraz, niczego. Ale być może
później; opóźnie pracownik, rdo-
tam przygotować i rygorystycznie
paw.

Zwracania.

12 Nie rozumiem.

De la Marche.

Pani nie jesteś podobna do
innych, ~~jestem tego pewny~~. Do-
tąd, radna jeszcze kobieta

270.

nie urabudziła we mnie takiego
ucrucia jak pani - i nigdy
jeszcze nie doznałam tak sil-
nego wrażenia, jakiego teraz
wobec pani doznaję.

Zuzanna (zniecierpliwiona)

Czyżby to było prawda?

De la Mare.

(to jest) Najsumptowniejszą prawdą. Je-
dnego tylko wymagam, bądź
pani re mng ^{zajęte} sekret, nie
~~obawiaj się otwartości~~. Co-
kolwiek byś mi odpowie-
działa, Lambertin otrzyma
nominację. Daję pani na to
moje słowo.

Zuzanna.

To pięknie z przeciwnej strony.

De la Mare.

Przyśięgam pani, że zdoby-
ta moje serce. Ale odpowiedz
mi, ~~proszę o to~~, czy mogę się
spodobać trochę ryce-
rzości?

Lizanna.

Jesteś pan dla mnie bardzo
sympatycznym.

De la Mare.

Czy serio? Lizanna.

Łepetnie serio.

De la Mare.

Chcę wyobrazić pani sobie,
jakaż mi ten przyjemność
sprawia. - Chce jestem prze-
stlony, jestem sam na świecie.

272.

rupetnie sam. (ociera łez.)

Zuzanna.

Jakto? pan płacze?

De la Mare.

Nie swawiaj pani na to - to
nerwy, tylko nerwy. Gdy mó-
wiz o sobie, łatwo się wru-
sam. ~~Nie~~ ^{Ojciec} ja nie jestem
szczęśliwy. Potrzebuję miłości,
a nigdy nie udało mi się
jeszcze nawiązać stosunku
serdecznego, któryby mnie
radował. Kobiety, które
trochę kocham, nie rozumia-
ły mnie. Do tego często natra-
fiałem na niernoszących mężów.
~~Ala~~ ^{Ala} jakże teraz jest mój pan?
Zuzanna.

27

Najraciej w świecie.

De la Mave.

Tu, w biurze nie jest bardzo
przyjemny. Luzanna.

To też nieprzyjemne strony
swego usposobienia zostawia
w biurze, ale ra to w domu
jest sama dobrocią i uprzej-
mością. De la Mave.

58

Jakże szczęśliwie mogli-
bysmy sobie żyć we troje.
Cóż by to był ra rozkoszny
sen! Dom wygodnie urzą-
dzony - czy dom pani jest
dobrze urządzony?

Luzanna.

27^h.
Ber rarruta.
De la Mare.
Sympatyczny mąż ... czaruj-
jąca rona ... Którybyś z kar-
dym dniem coraz więcej ubo-
stwiab. Coż mam uczynić,
aby się ten piękny sen ure-
czywiścił?

Luzanna 1^o 2^o /
Biedny stowiek!
De la Mare.

Powiedz mi pani sprzeczne:
czy Rochard Lambertina?
Luzanna.

~~Moż Boże!~~ No...

De la Mare.

Nie, pani, nie możesz go ko-
chać!

136 275.
Zuzanna.

Mam dla niego dwie rycerli-
sności i przywiązania.

De la Morte.

to nie
Ale miłości nie?

Zuzanna.

Nie, miłości nie.

De la Morte.

Spodziewałem się tego! Ta-
ka kobieta jak pani? -
A mnie? mogłabys pani po-
koszać? Nie od razu ...
nie - ale później, gdy mnie
pani lepiej poznasz, gdy się
przekonaasz, jak głębokiem
i szczerem jest moje przywią-
zanie. (pauza) Chcesz pani
już odejść?

276.

Luzanna / powieszomaj

Muszę jwi.

De la Mare.

Jeszcze chwile.

Luzanna.

Chce mogę, wierzą mi pan, 3
muszę natychmiast odejść.

De la Mare.

Miałbym jeszcze tyle do po-
wiedzenia.

Luzanna.

To później. A teraz pozwól
mi pan jwi pójść. 4

De la Mare.

Maże pani słowość. Tak
będzie lepiej. (ratuje ją w rebe)
Chce ratujesz pani, res tu
przysta? Luzanna (usuwając się)
Chce.

De la Mare.

277.

„Nie quierasz się na mnie?
Cie jestem dla pani niemi-
łym?”

Luranna.

„Nie. Ale nie spodziewałam
się, nie byłam na to przygo-
towana, że pan tak serdecznie
będziesz do mnie przemawiał.
A taka rozmowa musi ro-
bić wrażenie, zwłaszcza gdy
się nie jest do tego przygo-
towanym.”

De la Mare.

Cieszę się to. Nierozmiennie.

Luranna.

„Pan jesteś dobrym, serde-
cznym człowiekiem.”

De la Mare.

(całując ją w rękę) / Preko.

278.

nasz się pani, jak bardzo się
kocham. ^{Czy?} Czy to robi pani
przyjemność, że Lambertin
dostanie tę posadę?

Luzanna.

Nadzwyczajną przyjemność —
ale ja w tej chwili nie o po-
sadzie myślę. (n.s.) Zle
sobie z nim postąpić.

(gł.) Legnam pana.

De la Mare.

Do widzenia, ^{zatem} pani podpre-
fektowo. (Luzanna wychod-
zi na lewo w głąb) sam

Zdaje się, że teraz na prawdę
się rachochem. ^{choć} Chociaż jej
nie ^{oczywiście} nie robiło mi takiej
przyjemności, jak tak" tylko

X jej poprzedniczek. (dzwoni)
 Tak ~~chodzi~~ staje się, że to prawdziwa miłość.

Scena 27.

De la Mare - Bunel (wchodzi z lewej - w głębi - potem Bonquet - Lambertin - Lardillac - Liegeris - Chalardon - Gentil.

De la Mare. (do Bunela)
 Poprosi do mnie tych panów.

Bunel.

Natychmiast panie dyrektora. (wychodzi na lewo)

De la Mare.

Byłem niesprawiedliwy dla Lambertina. W moim sądzie jest on pitnym, wroczym, nieczym i inteligentnym

pracownikiem, a przytem nie
 jest intrygantem. Im wię-
 cej nad tem myślę, tem
 bardziej się przekonuję,
 że zrobię rządowi prawdzi-
 wą przysługę, dając mu tę
 osobę.

(Urzędnicy wchodzą z prawej
 i lewej strony)

Bouquet.

Pan dyrektor werwał nas?

De la Mare.

Po dojrzałej rozprawie, posta-
 nowiłem dziś jeszcze przed-
 stawić panu ministrowi Kan-
 dydata, na osobę podpre-
 sekta w Chateauroux. Wy-

139 28
wzornikiem z pewnością was je-
dnego, który - mojem zdaniem
- występuje na ten awans, a
którego za długoletnią naci-
wość, pracowitość, intelligen-
cję i punktualność wysoko
cenię.

Bouquet

(wzruszony n. s.) O mój Boże.

Chalardou i Liegeris.

Bardzo szczerze, panie dyre-
ktorze.

De la Mare.

Mój wybór padł na ciebie,
kochany panie Lambertin.

Lambertin

Na mnie?

Wszyscy (równocześnie)
Lambertin?

De la Mare.

za gościnę, otrzymasz pan
nominację. Lambertin

Ah, panie dyrektorze... do-
prawdy... brak mi stów.

De la Mare.

Podaj mi resztę, Kochany panie
Lambertin.

Lambertin

Z przyjemnością. (połgłosenym
Panie dyrektorze, przepraszam,
nie się pytam - ale chyba in-
terwencja mojej tesciowej
nie gra tu żadnej roli?

De la Mare.

Paniskiej tesciowej? Nie, sta-
nowczo nie. Daje panu na
to słowo.

Lambertin

1140

23.

Kiedy tak, to przyjmiję posadę
i republika może sınıato na
mnie liczyć.

Baugnet.

(n. s. wskazując binst republiki)

Republika? Hm.. republi-
ka odwróciła się do ściany.
A więc to znówu sprawa
kobiety.

Bunel.

(wchodząc z lewej w głębi)

Tamie dyrektorze, ten Gentil
znówu tu przyszedł.

(Gentil wchodzi z listem w rę-

ku.)

De la Mare.

Wskazując przynosić pan
pismo.

Gentil.

Oto jest! De la Mare. (kryta)

Jestem bratem pańskimiego por-
 tieru, który karab mi do-
 niesie, że się u pana pali.
 Jakto? pożar jest w mojem
 mieszkaniu?
Gentil.

Już od dwóch godzin.
De la Mare.

A to głupiec! Trzeba mi to
 było od razu powiedzieć.
(bierze kapelusz) Bunel, pali
się u mnie w domu. (wychodzi)
(Wszyscy otaczają Lambertina
i winoszą mu)

Koniec aktu 2^{go}.

Akt III^{ci}

Podprefektura w Chateauroux
Salon - w głębi w środku drzwi,
po prawej skro, po lewej drugie
drzwi. Z lewej i z prawej strony
drzwi boczne - na prawo kominek.

Scena I.

Pani Mariotte - później Hipo-
lit - Zuzanna - Gabryela.

P. Mariotte (wchodzi
 z lewej w głębi, idzie do komin-
 ka i pociąga tasinę od drzwonka)

Muszę się poradzić mego rze-
 cia. (do Hipolita, który wcho-
 dzi środkiem) Czy pan Lam-
 bertin w domu?

P. Mariotte.

Lipolit.

Pan podprepekt rormawia
teraz z komisarzem policji.

P. Mariolle.

Tapros go do mnie.

Lipolit.

Natychmiast. (wychodzi
drzwiami bocznymi na lewo)

P. Mariolle.

(patrzac na niego) Stwiercy
w liberyi! to byto mojem
marzeniem.

(Zuzanna i Gabryela wchodzi
środkiem, obie noszą wielkie
bukiety polnych kwiatów, które
kładą na kominku)

Zuzanna.

Jestesiny narescie!

P. Mariolle.

Był już wielki kras.

Gabyela.

Gdybys wiedziała mamó,
jaki śliczny zrobiłysmy spacer.

P. Mariolle.

Doprawdy, że was podziwiam.
Dzis ma być u nas na obie-
dzie reprezentacja miasta -
dwanaście nakryć! - A wy
sobie spokojnie spacerujecie.
Ja już ledwie ruję od rana.

Gabyela.

Ah, bo mama to rzytuje
co innego. Zuzanna.

Mama stworzona jest na dy-
gnitarra. P. Mariolle.

Spodriewam się, mam już do
tego wrodzone zdolności. Od
samego świadoma udręla-
tam cięgle audjencji. Naj-
pierw przyjętam kilka pre-
kypel, potem coćke strażnika,
następnie rone dorocy, a
przed chwila własnie pjami-
ta się deputacja, żeby mnie
zaprosić na przewidywaną
„Stowaryszenia Altruistek.”

Gabryela.

Cóż to za Altruistki?

T. Nowiole.

Alboż ja wiem? Ale godność
te przyjętam z rąk rąk.

Zuzanna.

¹⁰ Uwariam, że mama krzyje się tu
rzępetnie sreczestwa?

T. Mariotte.

Oczywiście, sreczestwa, najzu-
pełniej sreczestwa! I to tobie
Zuzanno rawdzięcamy te
niespodzianą, a tak pomysłną
zmianę.

Gabryela.

Jakże wielką przysługę
wyswiadczyłaś nam wszyst-
kim.

T. Mariotte.

Dziękuję tobie, od cternastu
dni mamy pod swoją władzą
67.436. mieszkańców.

Zuzanna.

¹¹ Cicho! Ferdynand idzie.

(Lambertin wchodzi z lewej z bokiem

Scena 2.Teri - Lambertin.Lambertin

Było nam tu ra dobrze, to
teri już się skonczyło.

Gabryela.

Co takiego? Lambertin.

Blugi spokój, któregośm
wrywali od przyjazdu do
Chateaurieux. Teraz ra to
nastają ciężkie prasy.

Loranna.

Coż się takiego stało?
Lambertin

(robi bardzo ważną minę)

Co się stało? Oto wybuchł strajk.
J. Mariolle.

Wielki Bore!

Lambertin

Tak jest, strajk.

P. Mariolle.

Gdzie?

Lambertin

W wielkiej farbiarni Simona.

P. Mariolle.

Czy wszyscy kawiesili robotę?

Lambertin

Wszyscy.

Gabryela.

A ilu ich jest?

Lambertin

Osterech.

Zuzanna.

Ba... tylko tyli.

Lambertin

Czy wam to jeszcze ramato?

Gabryela.

Coś nyskier zrobić?

Lambertin

Spretny mój obowiązek.

P. Mariolle.

Oczywiście.

Lambertin

W całej jego domostwie.

Gabryela.

Jakże się wkręcisz do tego?

Lambertin

Sam jeszcze nie wiem. Pre-
 dewerystkiem prawotam mera,
 nakazę policji pilnować pociąg-
 ów przychodzących z Paryża,
 a dla większego bezpieczeń-
 stwa puszczę w ruch randar-
 merję. P. Mariolle.

Brawo rękcin! prawo! - Ale
 skoro mowa o randarmerji,

musisz mi poradzić: Czy przy
stole na pierwszym miejscu
posadzić arcybiskupa, czy
ter Komendanta Landarmiji?

Lambertin

Naturalnie arcybiskupa.
(chce odejść w głąb, bo wraca)
Słuchaj, jeszcze słowo. Wie ma-
ma, co mi powieśdriat Ko-
misarz policyi?

T. Mariolle.

Czy takiego?

Lambertin

Że mamę w mieście nazywa-
ją: "Najtasławską Księżną".

T. Mariolle.

Proszę?

Gubnyeta.

Najtasławską Księżną?

P. Mariolle.

Jeszcze mi tak prze-
rywali? Lambertin

Bo mama na ulicy robi
pyrny i wrocystą minę,
jak jaka udruchna Księżna.
i nieustannie klania się na
prawo i lewo, nawet wtenczas,
gdy to jest zupełnie niepo-
trebne. P. Mariolle.

Chcę tem obarać, że wcale
dumna nie jestem.

Lambertin

Proszę, niech mama będzie
cośkolwiek powściągliwsza.
Teściowa podprefekta nie po-

winna być przedmiotem posimie-
nistki.

P. Mariolle.

Przepraszam cię, mój Kochany,
ale jeszcze jałk rzyję, nie wy-
stawiam się na niczyje po-
simiewisko.

Lambertin

Tak... ale w ocrach Krytyki...

P. Mariolle.

No, na przyrtość będę nwa-
riać na siebie.

Lambertin

Bardzo o to proszę. Ciebie
w głaz, lecz wraca się równy
Jałk myślicie? Noie nateria-
Toby napisac do pana de
la Mare? Krytykie rarem.
A to po co?

Lambertin.

Poradzić się go co do tego straj-
ku.

Luzanna.

Czyś runęły stracił? Dla ort-
rech strajkujących?

P. Mariolle.

Naprzekracz mu się z takim
głupstwem, to byłoby nieroz-
sądnie.

Lambertin

Nierozsądnie?

P. Mariolle.

P o odebraniu listu, gotowby
jeszcze tu sam przyjechać.

Lambertin

Tem lepiej. Byłoby to dla
mnie prawdziwy rascryst.

Luzanna.

Pieknym mi rascrucy! Ciotowiek,
który kompromituje wszystkie
kobiety. P. Mariolle.

I który proteguje tylko uster-
czonych meów.

Lambertin (oburzony)

Ktoż to powiedział?

Lurana.

Ty sam.

Lambertin

Ja to powiedziałem?

Gabryela.

Tak jest, ty sam.

P. Mariolle.

Zapewniabes nas przecie.

Lambertin

Być może... A wrócić po-

298.

wtarcatem tylko to, co styra-
tem od innych: ie ref pro-
teguje tylko merów ie pro-
wadzących się kobiet.

Lurana.

13

A więc? Lambertin

A więc to jest father, wiern-
tuy father! Bo mamy naj-
lepsz dowód...

P. Mariolle.

Jaki dowód?

Lambertin

Oczy dla mnie kto intrygowat?
Oczy kobiecie kawalerian
mój awans?

P. Mariolle (rs.)

Jaki on naiwny!

Gabyela / do Lamb.

Proszę cię, nie pisać do niego. Bo-
ję się straszenie tego pana
de la Mare. Luzanna.

74. Przedewszystkiem, nie robić,
mój swagrze, nie tę awan-
turę tak bierzesz do serca.

~~Strajkujący sami się uspo-
koją.~~ Lambertin

To też z listem wstrzymam
się do jutra. Gabryela.

Jak to ładnie z twojej strony.
scisła goś

Lambertin

Daj Boże, niebym tej uległo-
ści nie poratował. Wysokie

starowisko, wymaga wielkiej
odpowiedzialności.

(wychodzi głębiej)

Scena 3.

P. Mariolle - Zuzanna - Gabriela.

P. Mariolle

Nie, ten list do dyrektora,
to był świetny pomysł.

Gabriela.

Drę jeszcze na samo wspo-
mnienie. Zuzanna.

Zdaje mi się, że pan de la
Mare nie karatby się z przy-
jazdem dwa razy prosić.

Gabriela.

Będę w ciągłej trwodze.

Zuzanna.

Uspokój się! teraz nie ma się

jeprze tego obawiać. O ile
możę sądzić, pan de la Mare
jest człowiekiem, który dotrzy-
muje swoich obietnic. Przy-
najmniej w chwili, gdy je
daje. Ale o ile przedło się
rapało, o tyle przedło ra-
pomina. Jego ucrucia są
gwałtowne, ale przemija-
jące. Jestem przekonana,
że już nie myśli o mnie.

P. Mariotte.

Czy cię to martwi?

Lwanna.

Jak można przypuszczać?

Gabryela.

Mój Boże, co ja robię, gdy
Ferdynand przedstawi mnie

Kiedy dyrektorami.

J. Mariolle.

Jakim sposobem?

Zuzanna.

To nieprawdopodobne.

79

Gabryela.

Przeciwnie, to się bardzo łatwo
two more stać. Przeciwnie
jest niewiarygodnym mego
męża.

Scena 4.

Ter - De la Mare - Hipolit.

/ De la Mare ukazuje się w głębi
z Hipolitem - daje mu znak
żeby nie awansował - Hipol-
lit odchodzi /

J. Mariolle.

/ nie widząc Dyrektora Ba - je -
żeli nie pojedzie do niego -

sterjum, to moiesz tego poeci-
wego pana de la Mare nigdy
w rycinie nie robac.

De la Mare (d.?)

O mnie mówią.

Zwanna.

Mama ma strusiość.

De la Mare.

~~Zycie panien dwa dobre.~~ ^{Trzy dobre}

Zwanna (przestraszony)

On? P. Mariolle.

(do Gabryeli) Dyrektor!

Gabryela.

Ah! De la Mare (zbliżając się)

Pani Mariolle jest tu jedy-
ną osobą, która mam pruje-
mność rwać. (potrząsnął)
na Zw. ~~marionet~~ Jedyną.

Zuzanna (ns.)

Jak on to poddreslił.

De la Mare.

Proszę mnie ratem przed-
stawić paniom.

P. Mariolle. (b. umieszczony)

A tak.. istotnie, panie dy-
rektorze .. (ns.) Stabo mi
się robi. Zuzanna (ciężko)

Przedkaj mamu..

P. Mariolle.

(przedstawiając) Pan de la
Mare - pani Lambertin.

(Gabryela Kłania ma się, lecz
de la Mare nie widzi tego i
oddaje rękę Zuzannie

Zuzanna (ciężko, wskazując)

na Gabryelej moja siostra,
pani Henderson.

Gabryela (ns.)
Co? P. Marielle (ns.)

Co ona mowi?

De la Mare. (do p. Mar.)

Stotnie przypominam sobie;
gdy miatem przyjemnosci
widniec paniu w ministerjum,
wspomniatas mi, ze jedna
z jej cerek ndata sie do
Ameryki i tam wyszla za
mari.

Luzanna.

Wlasnie siostra moja straciuszy mario, wrócila do nas.

De la Mare. (do Gab.)

Taka mloda i jui wdowa?

Może pani być bezwzględnie
w rozpacz, gdy ja musiał
opuścić?

Gabryela.

O tak, w rozpacz.

T. Mariolle.

Naturalnie. (pauza)

~~X~~ De la Mare.

Możebyśmy usiedli?

Zuzanna.

Oh, yes, yes

Troszę bardzo.

T. Mariolle.

Nie śmiałam opiarować
pauzy Kręsta. (wzruszy się -
daję - n.s.) O mój Boże!

mój Boże! (jest bardzo
zaniepokojona, ale stara się usmie-
chać ile rany Dyrektor na nią
spojrzył)

152 307.

De la Mare / do Gab. /

Amerykanie, to dumny naród,
nieprawdą pani? Amery-
ka jest wielka, bardzo wielka.

Gabryela.

O tak, bardzo wielka. Tak
wielka ... (robi ruch omacra-
jacy wielkość Ameryki)

De la Mare.

Czy Taszkanta pani mieszkała
na północy, czy na południu?
Gabryela.

Nie przypominam sobie do-
kładnie ... Zuzanna.

Mieszkała na przemian na
północy i na południu. Z wiel-
ką jednak przyjemnością wró-
ciła

cita do Francji. A teraz nad
wzrostko kocha Normandję,
gdzie jest piękna podpre-
fektura, którą Lambertowi
randnięra pami dyrekto-
rowi.

De la Mare.

To jest prosto nagroda,
za jego rasugi - nie więcej.
Zuranna rzywa się, biegnie
w głąb i wygląda oknem -
P. & Mar. i Gab. wstają także i
patrzą na nią z niepokojem

Gabryela (rs.)

Pewnie Ferdynand idzie.

De la Mare (as.)

Co im się stało? (odmierzony
także wstaje)

Zuranna daje kobietom znak

uspakajajacy i wraca na swoje
miejsca) Wskryscyrownu sia-
dojaj P. Mariolle.

A ratem pan dyrektor mó-
 wid... De la Mare.

Mówitem, że staratem się o-
 nie raskugi pana Lamberti-
 na, a ratę drobną przystu-
 gę będę wynagrodzonym...
 sownie wynagrodzonym,
 jeżeli będę mógł liczyć na
 trochę wdzięczności.
(patrzy znacząco na Zwanę)
P. Mariolle.

Sk. wskryscy jestesiny niermier-
 nie wdzięczni panu dyrekto-
 rowi.
Gabryela.

O do mnie, nigdy nie rozpo-
 niesz tej wielkiej przystugi,
 jak nam pan wysiwiadczył.
De la Mare. / do Gabrieli/

Amerykancie mniejsz być
 wdręczni.

Lucanna.

Francuzi takie, nievar more
 nawet ranadto.

P. Mariolle.

Gdyby pan dyrektor wie-
 driał, jak często o nim ro-
 zmawiamy.

De la Mare.

Gdy tu wchodził, rdawato
 mi się nawet, iem szyszał...

P. Mariolle.

O takiego?

De la Mare.

Jak pani uwiała do pani Hen-
derson: "Jżeli nie pójdzie
do ministerjum; to może te-
go pościwego pana de la
Mare nigdy się w rycinie nie
robacze".

P. Mariolle.

A tak... istotnie... Bo wyo-
brazi pan sobie, że ~~P. Mariolle~~ Gabrye-
la była bardzo smutniejsza,
że dotąd pana nie ma.

De la Mare. (do Gab.)

Czy być może?

P. Mariolle.

A więc powiedziała jej...

Luzanna rzywa się jak pierwej
i biegnie do okna - P. Mar. i
Gab. spierają na nią

312.

Gabryela (ns.)

O mój Boże!

De la Mare.

(wstaje - d.s.) Co im się mo-
wn stało?

P. Mariolle.

(chodzi do Zwranny) Czy to on?

Zwranna (wracając)

Nie, nikt. (gł.) Zdarło mi
się, że ktoś stworzył furtek.

P. Mariolle.

Tak jest, furtek.

Gabryela.

Furtek od ogrodu.

De la Mare.

Zdaje się, że panie oserkują
Rogos? P. Mariolle.

A tak, cukiernika.

De la Mare.

Ciebieżnik? I to panie tak
niepokoi?

P. Mariolle.

Chyba byś tu jeszcze, więc oba-
wiamy się, czy trafi. Daje-
my dziś pierwszy obiad
oficjalny, pojmyje pan ra-
tem... De la Mare.

Ah, to ja zapewne prze-
rkażam panion?

Gabryela.

Ale coż znów!

P. Mariolle.

Zarazawiadomisz panna
o paniskiem przybyciu.

De la Mare.

Jakże się ma ten Kochany

Lambertin ?

P. Mariolle.

Joséphine

De la Morte.

To mnie ciery. Ale pewnie
jest rajęty, więc nie trzeba
mu przekładać. Lore-
kam tu na niego.

P. Mariolle

Zwanna dotrzyma pami-
towarzystwa.

De la Morte (n.s.)

Wież jej Zwanna na imię.
(romania z Gabryelą)

P. Mariolle (eichs do Zur.)

Wyprosi go stąd na jarkę
bądź cenę. Precier wiesz,

re nie more tu rostać.

Luzanna (cichy)
Pamięć mi leży cały praw-
de.

P. Mariotte (cichy)
O nie, nie, ra nie w świe-
cie! Ja nie chce wracać
do Batignolles.

De la Mare. (do Gab.)
Spik ^{inglisz} ^{veri} ^{well}
~~Speak~~ ^{english} ^{very} ^{well}
~~surely~~ ^{surely} ?

Gabryela (równomierny)
Mamo .. mamo ...

P. Mariotte.
(przestraszona, cicho do Luz.)
Teraz mówię po angielsku.

Du ~~ty~~ ^{De la Mare.} ^{inglisz}
(równomierny) Do it you speak
english?

Zwischen.

Zaklinam pana, prestoni-
bo ja do ter doprowadzisz

De la Mave.

Ma crego?

Lurama.

Bo gdy kto mówi do niej
po angielsku, przygarnia
jej ten nieboszczyk m_oria.
Dla Mare

De la Mare.

Preprossam pania ... ser-
decnie preprossam.

P. Mariolle.

Chodź ~~z~~ Gabryelo. (wychodź)

De la Noire.

(do wychoďdzącej p. Morioley

Alle presbyterianischen prange,

niech pani nie przeszkadza
temu poczywemu Lomberti-
nowi.

Scena 8.

De la More - Zwianna.

Zwianna (ws.)

32 Nie zapomniab o mnie.

De la More.

(mowi chłodno, z godnością)

Zmartwitas mnie. ^{p. pani} bardwas
mnie pani zmartwita.

Zwianna.

Ja?

De la More.

Bytem dobrym dla pani-
zawfatem ci.

Zwianna.

33 To prawda, postapites pan
ze mną szlachetnie.

De la Mère.

Et puis j'ai vu si ça te od-
wdręczyła? Zmartowotaś
sobie re mnie.

Zuzanna.

Jak pan może tak radzić. 39

De la Mère.

Przypomnij panu sobie, coś
mi przysięgała przed trzema
tygodniami? Pewnie już ra-
pomniataś o tem?

Zuzanna (śmieszając się)

radotnie / Przeciwnie, nie
zapomniałam. 37

De la Mère.

At jednak, nie wróciłaś już.

Zuzanna.

Walcuję z sobą często. Iż
to rany szcioram wżoszyć
do wargom i pospieszyć do
Paryża. De la Mare.

A więc ... Lwanna.

Alte prawse w tej samej chwili
li opamiętatał się. Obawa
była większa, niż odwaga,
mówiłam sobie: Nie, nie
można - nie można!

De la Mare.

Wacrego? Lwanna.

~~Wynuty~~
~~Wynuty~~ sumienia.
De la Mare.

Fakto, ~~wynuty~~ sumienia
żwi na przed?

Zurama.

A coiby dopiero było po tem
De la Mare.

Potem? o co do tego, moiem
pami być spokoju. Inwie-
nie nigdy dwa razy nie
gryzie. Zurama.

Dobre to mówić! Ale
obmyślać ciągle Planistwa,
wynajdywać wykręty, da-
wać wyjaśnienia, wszystkiego
się obawiać i nikomu nie
dowierzać.

De la Mare.

Gdybysmy chcieli tak nad
wszystkiem zastanawiać się,

to miłosi stataby się niepodob-
nictwem.

Scena 6.

⊙

Cis - Hipolit i Pingwin.

Hipolit (otwierając
drzwi w głębi). Proszę, niech
pan wejdzie. (wychodzi)
(Pingwin wchodzi)

Zuzanna.

ⓐ, pan mój!

De la Mare. (ws.)

Ten także przyłazł w porę.

Pingwin.

(Kłania się Zuz.) Pani! (wraca-

ca się do de la Mare) Zapre-
wne mam przyjemność no-
wić a naszym nowym pod-
prefektem?

De la Mare.

«He, panie!»

Luranna.

~~I~~ pan de la Mare.

Pingouin.

Chłopotnie przeproszam pana.
Ale dopiero wróciłam z wycieczki
włoskiej, z podróży, a ra-
tem nie miałem jeszcze spo-
sobności poznać pana Lam-
bertin. Ale może prześla-
dam panistwa?

De la Mare.

Właśnie, mam o czym po-
mówić z panem Lambertin.

Pingouin.

A więc mam przyjemność

formać pania podprefektów.

Lurama (nr 1)

No, to będzie ładna hi-
storja. De la Mare.

(odpowiadając merowi)

Tak jest. Pingonin. ~~Pingonin~~

(Kłaniając się Lur.) Jestem
rachmymy, że mogę sto-
pić pani moje uszanowa-
nie. Jestem Pingonin, Al-
cyd Pingonin, mer w Cha-
teauvieux.

Lurama (odpowiadając merowi)

Bardzo mi przyjemnie.

Pingonin

By sercowy matronek

pami znajduję się w swoim ga-
binie? Luzanna.

Oke, właśnie wyprost.

Pingwin.

W takim razie raciekam
na niego w kancelarji.

(Kłama się) Moje uspraw-
nie. (us.) Ta pani Lambertin,
nie jest bardzo rozmowną.
(odchodni środkiem)

Scena 7.

De la Mare - Luzanna.

~~Wier~~ De la Mare.

~~(jak monologu)~~
Luzanna już nie przypomi-
nam pani sobie tego, co
mi przypomniała? A ja przecież
dotrzymałem słowa.

161 325.

Luranna.

41 Ja także spełnię moje przy-
recrenie.

De la Mare.

Z pewnością Luranno?

Luranna.

42 Z pewnością. — Ale nie tu —
nie teraz ... Pórniej ... A
~~tymerasem~~^{teraz} musisz pan stąd
odejść.

De la Mare.

43 Jakiż, razar?

Luranna.

Koniecznie. Jestem bardzo
niepokojny ... bo Ferdynand
taki rardrosny ... podejrzliwy.

De la Mare. (pamiętając się)

Lambertin! Luranna.

Wie śmieję się pan! Przed dwo-
ma miesiącami bit się z ja- 49
kimś jeźdźcą, który mnie
uszczyptał.

Idzie? De la Mare.
Zuranna.

Przed teatrem.

De la Mare.

Bit się? naprawdę!
Zuranna.

A przestępcę tygodnia na
kolei wypoliczkował jankie-
goś pasażera, który mi się
raniadło przyglądał.

De la Mare.

Wie pani, jeżeli on tak dra-
żliwy, to nie długo utrzyma się

na swojem stanowisku.

Luzanna.

Mój Boże! gdyby się dowiedziało, że pan ma dla mnie sympatię... jakżeby on skandal zrobił! — Pomyśl tylko... pan, dyrektor ministerjum, prawa ręka ministra... De la Mare.

Ochój pani... przyrzuć mi doskonałą myśl.

Luzanna.

Jaka? De la Mare.

Dla bezpieczeństwa pani i uspokojenia jej męża...

Luzanna.

Cóż?

De la Mare.

Bede się ralecat do siostry
pani.

Luzanna.

Do mojej siostry? O nie,
tylko nie to.

De la Mare.

Tym sposobem odwróciwszy
podejście Lambertina.

Luzanna.

Wierz mi pan, że to mój myśł. 46

De la Mare.

Placęgo nie? Pani Glen-
derson jest przecież wdową,
wolna...

Luzanna.

Tak.. ale.. ale mógłbyś
się pan jeżwić w niej albo-
chac.

De la Mare.

Yakto, czyżbyś pami była
rardnosna?

Zuranna.

A dżakregoribz nie?

De la Mare.

O moja najdroższa Zuranno.

(słce jaż nżiillai)

Zuranna.

Bogdi pan rozsądnym.

De la Mare.

Tocatiż mnie choć raz.

Zuranna.

Proszę pana...

De la Mare.

Jeden, malutki catusek.

Jego nie możesz mi porcież
odmówić. Zrobiłem 45 mil,

nieby go otrzymać. To byłoby ⁱⁿ
^{brak} ~~był~~ ^{nerce} okrutnem z twojej strony.

Lucerna.

To prawda.

De la Mare.

(katując ją O Lucerna!

jałbie ja cię Kocham. Jeszcze
 raz ... przenie! pomyśl tyl-

ko ... 45. mil. (katując ją 

jeszcze raz - podczuwasz tę samą

Lambertin wchodzi głębiej. Lu-

cerna spotykając go, wydaje

krzyk i ucieka na prawo

Scena 8.

De la Mare - Lambertin

Lambertin (ostępiały)

Oh!

De la Mare (roz-)

Mare!

164 331.

Lambertin (no.)

On się wcale nie rzuca.

De la Mare (no.)

No, będzie awantura.

Lambertin (no.)

Precież ona jest wdowa, więc
sama odpowiada za swoje
postępowanie - co mi wróci
do tego.

De la Mare (no.)

Ładuje się, że się uspokoi.

Lambertin.

Oh, pan dyrektor! Co
za niespodzianka! Jak
miał niespodzianka!

De la Mare.

Kochany Lambertin! Jak
się pan ma? (wita się z nim)

serdecnie / Własnie przejeżdża-
jąc tedy, pomyślałem sobie:
Wszakże to tu jest podpre-
fektura Lambertina, muszę
teraz wstąpić i zobaczyć, co
on porabia.

Lambertin

To była świetna myśl, pra-
nowy panie dyrektorze!
Czy pan się już widział
z moimi paniami?

De la Mare.

Tak, tak, widziałem już pani-
szkę tesciową, rone i jej sio-
strę, słowem wszystkich.

Lambertin

Y byles' pan rapewne dobre
przer nie przyjety?
De la Mare.

Doskonale. Lambertin
(siniejac się) Widziałem na-
wet, gdyś wcho drit...
De la Mare.

(zmierzany) Co takiego?
Lambertin.

Mój Boże... przecież nie
jestem ślepy. Ale nie ma co mó-
wić, danielu się pan bierzesz do
ręcy. Powinnować! — Jak
Czarr! Przyszedles, robaczytes'
i rwyciężytes'.
De la Mare.

J... i nie gniewasz się pan
na to? Lambertin

Ami tropie. Pocatunek, nie jest
jeszcze występkim.

De la Mare /

Bardzo przyjemny mąż!

Lambertin (d. 1)

A gdybyś ich tak porównał? (gl.)
Czy ona istotnie podobna się
panu? De la Mare.

Przecywiście bardzo. Tylko.

Lambertin.

A jaki charakter! Nie wyo-
brawisz pan sobie, co to za cha-
rakter! De la Mare.

Owszem, wyobrażam sobie.

Lambertin

Chc - pan nie moiesz sobie
tego wyobrazić! Bo gdy się
kobieta widzi po raz pierwszy,
chciałabym ją nie nawet i poca-
łować, to jeszcze nie można po-
rucić wsłupthick jej rąk.

De la Mare.

No tak. - ale pan miałes na
to już słyszeć czasem?

Lamb.

Naturalnie. I moiesz mi
pan wierzyć na słowo, że
jest łagodna, przyjemna, we-
sola, słodczyna i rozumna..

De la Mare (no.)

Ależ on kompletnie zachwala
mi swój towar. To ciekawe.

Lamb.

A co na głowa... jakli rorsq-
dek! Cieniek, który polocha
taką kobietę, nie będzie miał
powodu skarżyć się.

De la Mave (ns.)

Zdrętwiałem.

Lamb.

(jakby pod wpływem nagłego
natchnienia) Czy mogę z pa-
nem otworzyć pomówić?

De la Mave.

Proszę o to.

Lamb.

Niez tego. Znamna podobna
się panu... a pan się jej po-
dobasz... De la Mave.

Jakto, przypuszczać pan, że...

Lamb.

Ba... czy przypuszczam! Do licha! Przecież nie pocatowatej jej pan wbrew jej woli?

De la Mare.

Nie mam tego rzygajnu.

Lamb.

A więc oczywiście, podobacie się sobie wrajerunie. Dosłownie! - A teraz odwarinie, na przed! Skorzystaj pan ze sposobności i postaraj się ją zdobyć! Jestem pewny, że się z łatwością porumniecie.

De la Mare.

(ciagle nierównie robionym)
Czy to panu robi przyjemność?

De la Mare. 1017
Lamb.

Wielką, prawdziwą przyjemność.
De la Mare. 1017

Nie, to bajeczne! Oregos
podobnego chyba jeszcze nie
było!
Lamb.

Nawet ja pan berpiecznie ko-
cham, bo wierzę mi, że nie
lepiej nie będzie mógł
znać się.
De la Mare.

Upowiadając mnie pan ratem?
Lamb.

Z całego serca.

De la Mare.

A więc, ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ - pojde
na pariską radę.

Lamb.

Na mójj pource, moiesz pan
siunato rachowac.

De la Mave.

Fakto? chcez mi pan jessore
pomagac? Lamb.

O ile to bedzie w mojej mocy.
A teraz pozwol panie dyre-
ktorze, ze ci stoz moje podzię-
kowanie.

De la Mave.

(n.s. oburony) Nie - tego
juzi ranaadto! On jest wstretny.

Lamb.

O jedno tytko chce pana dy-
rektora prosic.....

De la Mare.

More o podwyższenie pensji?

Lamb.

(~~smiejąc się~~) O, teraz jeszcze
nie... Chciałem tylko prosić
o zachowanie porządku.

De la Mare.

Ah!

Lamb.

... wobec ludzi:... bo pojmuję
pani... świat jest taki sto-
sliwy.

De la Mare.

Proszę być zupełnie spokojnym,
będę postępować roztropnie.

Lamb.

To dobre!

De la Mare.

Będę prosiągliwym.

169 341.

Lamb.

Bardzo dobre.

De la Mave.

Świat nie powinien się nicre-
go domyslać. Lamb.

No tak ... z początku ... ale
po pewnym czasie ... to się
samó przer się rozumie.

De la Mave (ns.)

~~Ciekawy facet!~~ (gł.) ... że
się wszyscy o tem dowiedzą.

Lamb.

Naturalnie. Ja pierwszy roz-
głoszę. Precież to taki dla
mnie razwyt.

De la Mave (ns.)

Ha - skoro to dla niego ra-

srezyt ... /gł./ Nie potrzebuję pa-
na zapewnić, że potrafię być
w drugim.

Lamb.

Oh, nie mówmy o tem.

De la Mare.

Zajmę się poważnie przyszłością.
A teraz porozmawiamy trochę o
terazniejszości. Cóż, jesteś
zadowolony? Wszystko idzie
dobrze?

Lamb.

Duszenie! - chociaż - jedno
mnie niepokoi a nawet chca-
tem w tej kwestji porozbicie
się listownie p. dyrektora.

De la Mare.

O cóż to idzie?

170 343.

Lamb.

O strejk, który wybuchł w Chon-
teauxviens.

De la Mare.

O, to rle. Lamb.

Platego też skrzatem listo-
wie osiągnąć pariskiej do-
świadczoney rady.

De la Mare

Moge panu dać tylko jedną,
ale ra to bardzo przyteczną
radę. Otóż przedy, lub
później Rady strejk musi
się skonczyć, byle tylko poire-
duicy i doradcy nie wie-
szali się do niego. St ratem
radę nie przyjmować ra-

344.

dużych deputacji.

Lamb.

A jeżeli będą nalegać?

De la Mare.

To ich pan nie przyjmiesz.

Lamb.

Oha, niechże i tak będzie.

De la Mare (ws.)

No, gdyby twoja rola nie
była taka łatwa.

Lamb. (drwoni)

Nam nadziej, że pan dyre-
ktor zrobi nam tę przyje-
mność i zaszczytu swoje obe-
sności, nasz pierwszy obiad
opieczalony. De la Mare.

Z przyjemnością.

Lamb.

Pisadze pana nieduży mój
rang i jej siostra.
De la Mare.

Bardzo dobre.

Lamb.

W ten sposób bedniemy się pan
może do niej pójść.

Hipolit wchodzi środkiem

De la Mare (u.s.)

On jest bardzo.

Scena 9.

Pr. - Hipolit.

Lamb. (do Hip.)

Zaprowadzi pana de la Mare
do pokoju gościnnego. (wra-
cając się do dyrektora) Czy

346.

pan ma z sobą jakie pamiątki?

De la Mare.

Tylko rzeczna walizkę. Zosta-
wilem ją w hotelu „Britannicum”.

Lamb. (do Filip.)

Poszukaj natychmiast po wa-
lizkę pana de la Mare.

De la Mare.

A więc do przedniego roba-
wienia panie Lambertin.

(wych. głębiej z Filip.)

Lamb. (samy)

Jak się to można mierzyć ra-
mień na ludzicach. Oto jest
prętowiek, którym jeszcze przed
dwoma tygodniami pogar-
dzałem, a dziś jest moim

142 347.
przyjacielem, prawdziwym
przyjacielem.

Scena 10.

Lamb. Gab. potem Hip-
i Ping.

Gab. (wchodzi
z kwią w gełbi - d.s.) Po-
medzi jwi sobie.

Lamb.

O, to ty, chodźno tu. Wiesz,
pan de la Mare zabawi
u nas kilka dni.

Gab. (przeważony)

To on jeszcze nie odjechał?

Lamb.

Ulokowałem go w gościńnym
pokoju.

Gab. (u.s.)

Bore mój!

Lamb.

Proszę cię, bądź dla niego nprej-
mo, bardzo nprejmo. ekie
wymagam wprowadzenie, żebyś
mu się pozwoliła całować
jak twoją siostrą.

Gab.

Jak Luciana?

Lamb.

Przed chwilą właśnie prze-
stem ich tu niespodzianie.
W Ameryce narywają to
flirtem. I to właśnie na-
sunęło mi pewną myśl, myśl
genjalną.

Hip. otwierając

drzwi środkowej Proszę pana
mea. (prawa strona mea a
sam wychodzi)

173 349.

Lamb.

Oh pan mój, nie mam go
jeszcze. Gab.

Ja uciekam. Lamb.

Zostawie, muszę cię przedsta-
wić. Ping.

(okluczając się) Zapewne mam
przyjemność mówić z pa-
nem podprefektem?

Lamb.

Tak jest. Ping.

Bardzo mi przyjemnie (pred-
stawiając się) Jestem Pingonin,
ojciec Pingonin, mój w Cha-
teauvieux. Lamb.

Mito mi pomać starownego
pana. (podaje mu rękę) P.
prosił pan przedstawić sobie
moją rolę...

Ping. (obracając się)

C on mówi?

Lamb.

(koniec zdaniem) ... panie

Lambertin.

Ping. (ws.)

Jeszcze jedna? (gł. Kłaniając się)
Bardzo mi przyjemnie.

Gab.

Nie również.

Ping. (do Lamb)

Wiesz ta pani jest paniszką
równą?

Lamb.

Naturalnie.

Ping.

Czy pan jesteś tego pewnym?

Lamb.

Spodziewam się. (us.) Co je-
mu jest?

Ping. (us.)

Ten Paryżanin widocznie
kpi sobie ze mnie.

Gab. (do Lamb.)

Upredzę Luranne, że pan
de la Mare zostaje u nas.
(wychodzi na prawo)

Ping. (us.)

Muszę go przekonać, że na
provincji nie ma takich
głupców, z których kpi so-
bie można.

Lamb.

Czy pan jesteś rianaty, panie
~~Pingouin~~? Pingouin?
Ping.

Czy jestem rianaty? Oczywiście,
 jeszcze więcej rianaty jak sam
 pan podwefekt. Bo ja mam
 trzy riany. Lamb.

eti trzy riany?
Ping.

Tak... a mój odjunkt mo
 ich aż czterech.
Lamb.

Cztery riany?
Ping.

Tak, tak, już my tacy jesteśmy
 w Chateauxvieux! Tego się
 pan nie spodziewałeś, co?
 (śmieje się)

Lamb.

Z pewnością, że nie.

Ping.My tu na prowincji jesteśmy
rępetnie tak samo weseli
jak wy, w Paryżu.Lamb. (os.)

Zabawny jest ten pan mer.

Flip. (wchodząc)siadając, z listem w ręku)List od pana Komisarza
polisy.Lamb.

Daj.

Flip.Jest takwie tam takwie ktoś,
co się chce widzieć z panem
podprefektem.Lamb.

Wszystko racjonalne. / Flip. wychodzący
(do Ping.) otwierając list

Powinno być pan?

Ping.

O, proszę. Lamb.

(po przeczytaniu kilku wierszy,
do Ping.) Ten list powinien
 i pana interesować.

Ping.

Fakto, mnie?

Lamb.

Tak jest, chodzi tu bowiem
 o bezpieczeństwo.

Ping.

W sprawie?

Lamb.

(czyta głośno list), Słomkowy
 panie podprezencie! Słom-

jaż się do pariskiego rozkładu,
wystatem jednego z moich
agentów na dworzec Kolejowy.
Ping.

To bardzo portropnie.

Lamb. (czyta dalej)

"Pomiedzy podróżnymi, którzy
przybyli tu z Paryża, o dru-
giej, minnt 20 - znajdowało
się jakies' indywiduum, ~~z met-~~
~~mianym~~ parawolem i ~~kapto-~~
~~maną~~ torby podróż. Otró-
to indywiduum, udało się do
hotelu pod "białym koniem".
zjadło kawatek pieczeni kie-
łecy, kilka śliwek i wypilo
butelkę jabłecznika i fili-

riankę Harry. ~~Przyjem~~ on podej-
 rany jego mość przywłaszczył
 sobie trzy kawatki rubin,
 które schował ~~je~~ do lewej
 kieszeni od kamizelki - na-
 stępnie pytał się o drogę
 do posterpektury.

Ping.

Strzeż go się pan!

Lamb. (krytyk dalej)

Mój agentawiadomil mnie
 o tem występie i przez
 niego właśnie wysyłam ten
 list, który pan otrzymasz
 równocześnie z jawieniem
 się owego indywiduum w pod -

177 357.

prefekturze. " — Barabro do-
bre.

Ping.

„Pan chce przyjąć tego
prywatnie?”

Lamb.

Naturalnie. Ping.

Bądź pan ostrożny.

Lamb.

Proszę pan wejść tymczasem
do mego gabinetu.

Ping.

Skoro pan sobie tego życzy.

Lamb.

Być może, będą również
wzwać powoły...

Ping.

Niecierazkość przybłądła, a dobro-

dmiarz przekona się, że re mma
 nie ma rartów. (mych. na lewo
Lamb. / wyjmując
z suflady revolver, który
staram się ogląda) W kaidym
 razie trudno przewidzieć,
 co może nastąpić. (chowa
revolver do kieszeni) A teraz
 przebiegłość i zimna krew.
 (Flip. wchodzi środkiem ⊙
 Prowadzi tego człowieka.
 (Flip. wychodzi) Z pewnością
 jakiś agitator z profesji...
 a kto wie? Może to anar-
 chista! Flip. (otwierając ⊙
drzwi środkowej Procy wejść.

Scena II.

Lambertin - Bonquet (wchodzi)
Flip. wychodzi

Lamb.
Jako, Bonquet, ojciec Bon-
quet! A to oświadczenie
Komisarza policji.

Bonquet.
Jest się masz, mój drogi.

Lamb.
Dzień dobry, Kochany ojciec
Bonquet! (wita się)

Bonquet.
Jestes' zdziwiony, prawda?

Lamb.
Właśnie mówiąc, to się oze-
kwiatem. Bonquet.
Ozekwiates' mnie?

Lamb.

Lada chwila. (wyciąga) Przy-
jeżdżacie do Chateauroux
o drugiej, wzięt 20. Miałeś
przy sobie wetniczany parasol
i haftowaną torbę podróżną.

Udajecie się do hotelu pod, bia-
łym koniem "gdyż" jadłes
kawatek pierzeni cieplej i
kibla słowem, wypitesz outelki.
jabłecznika i filiżankę kawy,
a przy tej sposobności przywta-
szyćes sobie trzy kawalki
ciasta.

Banquet.

Po, ja przywtaśszytem...

Lamb. (wyciąga)

z koniuretki Banq. ciastek

179 361.

O to są, te trzy kawalki rubra.
Cóż i coś ty na to, mój ko-
szany, he?

Bouquet.

Chce moze wyjść z podbiwie-
nia.

Lamb.

Cóż — i jakże ci się podo-
ba moja tajna policja?

Dobrze zorganizowana, praw-
da?

Bouquet.

~~Omnipotentem~~ ^{z grupy} Kompletwie!

Lamb.

J to wszystko potrafiem
zrobić w ciągu oternastu
dni. (wyjmując revolver z kies-
zeni)

Bouquet (przestraszony)

C to ma znaczyć?

Lamb.

Teri nie bój się, nie bój.

Bouquet.

To ty jesteś uzbrojony?

Lamb.

Lawre. (chowa rewolwer do
puplady) No, ale siadajcie,
mój Kochany. Prezydent
ratem przez nasze miasto?

Bouquet. (siadając)

Tak, bo muszę się w Paryżu.

Lamb.

A ministerjum?

Bouquet.

~~Z ministerjum wracem już~~
~~worbat.~~ W osm dni po twoim
wyjściu, premiershipu mnie
w stam spowynka. Teraz reg-

drog żywi sobie bezemnie.

Lamb.

Nieś jesteś wolny; zupełnie
wolny?

Bouquet.

Jak ptak w powietrzu.

Lamb.

To musisz pan byćadowolony.

Bouquet.

Co to, to nie. Od czasu jak
opuściłem bistro, czuję się ja-
koś niedobrze.

Lamb.

Podróżyć! podróżować! nie-
kiedy natura! Kręć się na jej

Teraz, na jej macierzyste
Teraz - jak mowi piosenka.

Bouquet.

Kiedy widniesz, siewie powie-
tro nie stwiy mi, dusi mnie,
a natura nudzi...

Lamb.

No, więc co?

Bouquet.

To też powiedziałem sobie:

Stuchaj ^{Lambert} Bouquet, masz pro-
cier na prowincji przyjaciela,
starego przyjaciela, który roz-
niży piękne stanowisko. Podpre-
fektura jest cząstką mini-
sterjum, możesz więc od niego
począć małego kucika.

Lamb.

Yakto, chcesz, żebyś cię tu u
siebie pomiescił?

Bouquet.

Potrzebuję tylko maleńkiego
kacika. Lamb.

Ale to niemożliwe.

Bouquet.
Będzie robił wszystko co re-
chcesz, bylebym tylko mógł
oddychać powietrzem bór-
nowem. Lamb.

Kiedyś mój personal jest
kompletny. Bouquet.

Trzeba tylko trochę dobrej woli.
Lamb (rimus)

Bardzo mi przykro... ale to
jest niemożliwe! (wstaje)

Bouquet.
Przeartwiamy wstaje Ha, więc
nie mówmy już o tem.
Lamb.

Przebać, że nie mogę ci stwój
stwój, ale nie mogę ci stwój
gabinetu, przybył do mnie
także i dyrektor ministerjum.

Bouquet.

Pan de la Mare.² (rośliny)
Aha, więc ryjcie z sobą teraz
w przyjaźni.

Lamb.

Czy ci to drwi?

Bouquet.

Bynajmniej. Drwiłbym się, gdy-
by było przeciwnie.

Lamb.

Przeciwnie?

Bouquet.

Naturalnie. Ja to przecież do-
bre rozumie. Musisz być
przeciwny, że tu przyjechał-

182 367.
no i twoja rona tabbie.

Lamb.

Moja rona? Bonquet.

Ależ ja to doskonale rozum-
niem. Naturalnie... dla mnie
tu nie ma miejsca. Ja nie
potrapię jak inni zdobywać
sobie stanowiska. Korstem
własnego honoru.

Lamb.

Co ty chcesz przer to powie-
dzieć? Bonquet.

o! To ^{mi}tylko przypomnia
"Tawonytę" i Danirettego. Jeżeli
pan podprefekt będzie kie-
dy na tej operze, to radzę
oddalić się przed trzecim

aktom, rannim nastąpi scena,
w której Kochankę Królewską
spotyka miśwaga. / Legnam
pana podprefekta. (chce odejść)

Lamb.

Preparasram, jessere stowo. 
O kim pan chceś mówić?
Którzy to redbyt posady ra cere
swego honoru? Spodriewam
aż, że nie o mnie pan myślisz,
bo na szczęście, w ministerjum
wszystcy wiedzą, jakim sposo-
bem dorrotem do mego obe-
cnego stanowiska.

Bouquet.

Naturalnie - wszyscy wiedzą,
że rawnierczasz je swojej żonie.

Lamb. (nie mogąc)

razamowac nad sobą
 Mojej ronie ?! Powarż się to
 jeszcze raz powtórzyc!

Bonquet.

(przestraszony) Kler Lambertin!

Lamb.

(chwytając go za gardło) Klam-
es! podły Klamco!

Bonquet.

Tanie podpretekcie, uduśisz
 mnie.

Lamb.

(wstrząsając nim) Klamies,
niegodziwce, Klamies!

Scena 12.

Cis - Pingwin - P. Mariotte
Zuzanna i Gabryela.

Ping. (wpada z lewej

z boków) Jestem, jestem, trzy -

370.

maj go pan dobrze.

P. Mariolle

(wpada z lewej, w głębi) Pan
Bonquet.

Ping.

Wyrusz oknem tego totra.

(klucze go na ramionach)

Lamb.

Chce, nie, puść go pan.

Ping. (puszcza go)

O, tego zbroduciarza?

Lamb.

To mój przyjaciel.

Ping.

To co innego. Ale mówicieś
mi pan przecież, żeby być
w pogotowiu. (notr.) A to fi-
glarz z tego podprefekta!

184 371
Lamb. (do Bongneta)

Rebaj, ravar sie prekonany.
(wychodzi na prawo, motajac)

Gabryelo! Bongnet.

Tricy Kannibale.
Ping.

(Klamajac na p. Mar.) Jestem
Pingorin, slyd Pingorin,
mer w Chateaurvieu.

P. Mar. (oddajac ukton)

A ja jestem podprepekto...

Pingorin (ustr. rignu)

Jesore jedna rona!

P. Mar.

Podprepektowej matko.

Bongnet (as)

No, jwi muie nikt nie na-

372.

moi, rebym drugi raz odwie-
drit dawnego Kolegę.

(chce odejść i oddalić)

Lamb. (wraca)

Czekaj, nie odeszdziesz stąd.

(do niego) Trzymaj go pan.

Bongret (przestraszony)

Hei zostaje, zostaje.

Lamb.

Wie, Kochaneczku, nie wy-
krecisz się tak łatwo.

(Lur. i Gab. wchodzi z prawej)

Lur.

O co tu chodzi?

Lamb.

Wiesz, co mi ten człowiek
powiedział? że w Paryżu

utrzymują, że mój nominację
paw-dziecam nie osobistej ra-
stunde, tylko mojej ronie.

Krytykowie Robiety.

Oh mój Boże!

Ping. (siniejąc się)

A której ronie?

Lamb.

Fakto, której? Zdoaje mi.
się przecież, że mam tylko
jedną. (wskazuje Gabr.) Czy
nie przedstawitem jej panu?

Ping.

Prawda, lecz pierwszej przedsta-
wiono mi inną. (wskazuje

Lamb. Właśnie tę panią.

Lamb.

To przecież siostra mojej rony.

Lwr.

Posłuchaj mnie Ferdynandzie.
 Łdaje się, że najlepiej powie-
 drzeć całą prawdę. Otwórz ist-
 tnie ktoś przedstawił się
 panno de la Mare jako twój
 rona i prosił o protekcję
 dla siebie, że to nie była
 Gabriela, tylko ja.

Lamb.

BIBLIOTEKA TEATRALNA
 Własność Gminy m. Lwowa.

Ty, Lwanno?

Bonquet.

Pani?

Lwr.

Ja!

Lamb.

Jakto? osiwietał się?

Bonquet (do p. Mar)



Anaske

2. 185 (back cover)

14.08.85

75

